№ 2. Warszawa, dnia 1 (13) Stycznia 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

O WPŁYWIE DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Młodzieniec zapatrzony w oczy ukochanej, kobietę zowie najpiękniejszym kwiatem ziemi. I nie myli się w poetycznem podniesieniu ducha: kobieta jest nim rzeczywiście i była zawsze jak tego najlepiej mowa nasza dowodzi. Panny niegdyś zwano *dziewami* czyli *dziwami*, dziś dziewicami: — mężatki *połowicami* a staruszki z łacińska *matronami*, czyli matkami. Pod każdą tą nazwą kobieta odbierała cześć jej przynależną; w panieńskim stanie dziwiła krasą swej młodości i ujmującym wdziękiem duszy i serca; w zamężnym, była połową swego małżonka i koroną jego głowy; w podeszłym wieku, matką dla każdego godną nazwy matrony.

Nazwy te, to najpiękniejsza legitymacya godności kobiecej wyrobionej wiekami; pierwsza, *dziewa*, sięga najdawniejszych czasów jeszcze pogańskich, z mitologii ówczasowej zapożyczona; druga, *połowicy*, wyrosła z umysłu rozbudzonego do poważniejszego zastanawiania się nad tem co nas otacza; trzecia wreszcie *matrony* powstała z przyswojeniem rzymskiej cywilizacyi. Przez wszystkie te doby życia społecznego, rozwijającego się od pączka latorośli aż do rozłożystego drzewa, cieniem i owocem darzącego skupionych pod jego osłoną pracowników, kobieta zdobycz swego stanowiska dokonywała własną zasługą, bo wyrób języka jest jedynie wynikiem wewnętrznego uznania, uosobieniem przekonań każdej pojedynczej jednostki.

O wpływie kobiet na wyrobienie charakteru narodowego nie będziemy się zastanawiać; jest to prawda uznana nie potrzebująca dowodzenia. Dziecię karmione mlekiem matczynej piersi, od najpierwszego brzasku rozbudzonej myśli, słucha jej słów, jej rozumowań, przejmuje się jej zasadami, pojęciami i te niejako krystalizując się w jego główce, wykształcają na człowieka, pozostając zawsze na dnie ducha, może nie w pierwiastkowej prostocie rozjaśnionej ogólnym postępem, ale zawsze w zasadzie, w głównych zarysach niczem nigdy nie startych. Z tych rysów wyżłobionych staraniem matczynem, powstaje ów charakter ogólny, jego dążności, pragnienia i odpowiednie czyny, stanowiące historyą każdego narodu.

Ludzkość rozbitą jest na odrębne społeczności różniące się nietylko usposobieniem ale nawet mową, tym najważniejszym czynnikiem wzajemnego porozumienia się. Do zjednoczenia w jednej idei musi dojść własnem staraniem i w tym kierunku pracuje od chwili swego powstania. Do wyrobienia tej idei bez podziału pracy była widać za słabą, rozdzielona przyspasabia części wielkiego dzieła z których kiedyś powstanie całość. Kobieta zatem pomimo jedności we wpływie na rozwój społeczny, w każdej narodowości musiała być ożywioną innemi pojęciami w głównej myśli, któręm wielkości zaprzeczyć nie można, jeżeli zwrócimy uwagę na stan zachodu Europy i ludności w obszarach amerykańskiego lądu.

Pogląd nasz jako ogólny nie może się zajmować zboczeniami; nie jednostki bowiem ale powszechność mamy na celu. Narośla chorobliwe i poczwary w świecie roślinnym i zwierzęcym zawsze się trafiały i wyrastać będą, nikt jednak na mocy tych przypadłości, rozwoju prawidłowego wszystkiego co żyje nie zaprzeczy. Wszędzie zatem kobieta wpływ przeważny wywierała, zawsze była matką, duchem opiekuńczym wzrastającego pokolenia, jego sercem i myślą, tradycyą w żywem słowie, z wieku na wiek przenoszoną, zasiewem wszystkich cnót dających społeczności to czem zostawała. Podnosić znaczenie jednej tej cząstki ludzkości nad drugą na mocy zajętego stanowiska, jest błędem z pychy wyrosłym. Wszyscy jesteśmy kmieciami Bożymi, i każda społeczność niczem innym tylko pracownikiem w kierunku wyższą wolą naznaczonym. Jeżeli spełniając ją stanęła po nad drugiemi, niech wdzięczną będzie Temu co jej do tego wolą Swą utorował drogę, ale niech się nie wywyższa, bo do tego nie ma żadnego prawa.

Nasze zatem *dziewy, połowice i mątrony*, obowiązki swoje spełniały wiernie i mogą słusznie uchodzić za najpiękniejsze ziemskie kwiaty, nawet wtenczas gdy róże młodości okryją zmarszczki i smukłą kibić przychyli się i zgarbi. Duch nie ulega tym przemianom czasu a nawet z pod napływu lat wyłania się coraz piękniejszy, mądrością życia i obowiązków. Cielesna jego sukienka choć bez barw świeżością nęcących nie odpycha, ale przychyla z poszanowaniem wszystkich głowy; podziwem uroku, młodości duszy i ciała, połowiczością rodzinnego związku, i powagą matki. Każdy jednak czas ma swoje potrzeby i wymagania, do dawnych obowiązków nowe przybywają niemniej ważne i konieczne. Prąd czasu płynie niewstrzymanym pędem; obok wewnętrznego przerobu myśli, ze stron dalekich zawiewają często obce pierwiastki które konieczne w miejscowości w jakiej wyrosły, w obcej stronie wydać mogą cierpkie a nawet trujące owoce.

Społeczność nasza właśnie jest w tym wirze obcej naleciałości, która jak uragan pędząc na nią spada gradem z pragnieniem zajadłem ogólnej ruiny.

Bezsilne to wprawdzie zachciewki: nie ludzka wola ukształciła społeczności i nie ona zdolna zmienić kierunek drogi którą postępuje, ale napaść ta może sprawić wiele szkody, od której bronić ogół mogą i powinny kobiety.

Materyalizm brudny, nizki, wstrętny gardzący wszystkiem co brzęczących zysków nie przynosi, jest właśnie ową naleciałością ze stron obcych. Podsycany zawodami i nieszczęściami, przypiął się najprzód ludzi z ukończoną nauką, a od nich przechodząc coraz niżej i niżej, obałamucił słabsze głowy, zaraził zwichnięte organizmy i doszedł wreszcie aż do poziomu społecznego, odbierając mu ostatni hamulec co go w grozie i posłuszeństwie utrzymywał.

W miarę zapuszczania szponów w bezwiedne ofiary swego zaślepienia, psuła się moralność, niszczyła wiara religijna za czem poszły wszystkie następstwa grożące zachwianiem ogólnego porządku. Dziś też przestępstwa przewidziane kodeksem karnym, są na porządku dziennym; — codzień, nieomal co godzina, dowiadujemy się o nowej jakiej zbrodniczej awanturze, od której chcąc się ustrzedz, wymyślono aż nowe owarowania drzwi wchodowych, a Warszawa nie na żarty powzięła myśl urządzenia ciągłej straży nocnej czuwającej nad wszystkich bezpieczeństwem.

Wina tego, dzięki nowemu kierunkowi nazwanemu szumnie pozytywizmem, gdy właściwie zwać się winien nieuctwem, jest nic innego, tylko wyrosły z niego materyalizm, który jakkolwiek w arenie naukowej ma wielkie znaczenie i nie targający się na podstawy społeczne zasługuje na uznanie, padając jednak na umysły nieprzygotowane do jego właściwego zrozumienia osadzając się w nich niejako w zdaniach i formułach źle pojętych, paczy je, wykrzywia, tworzy najfałszywsze zasady z których naturalnie nic innego wyniknąć nie może, jak tylko karogodne czyny.

Brak właściwego wykształcenia w górze a zupełnej ciemnicy w dole jedynym tego powodem: góra grzeszy niedostatkiem nauki, dół jej zupełnym brakiem. Góra chwyta nowości bez rozwagi na następstwa i szermuje niemi ciesząc się pozorami uczoności: dół te przeżute szczątki przyjmuje bez wyboru ucząc się być bydlęciem któremu wszystko wolno. Temu stanowi rzeczy zaradzić od jednego zamachu pióra niepodobna; do popsucia czegoś jedna chwila wystarczy, gdy do naprawy często lat potrzeba, tymbardziej gdy to psucie społeczne już się lata odbywało. Mimo tego do oddziaływania każdy w kim tylko serce bije poczciwe, zabrać się winien a szczególniej też nasze kobiety tradycyjnie uważane za kapłanki ogniska domowego, owe uwielbiane *dziewy*, ukochane *połowice* i szacunkiem otoczone *matrony*.

(d. n.)

Rachunek sumienia o północy,

z Beandelair'a.

Północ bije na zegarze,
Doba kończy się w tej chwili.
Obrachować rozum każe
Czyśmy godnie ją przeżyli?

Dziś trzynasty — straszna data,
I złowrogi jeszcze piątek,
Wszystko w opak szło do kata,
Poplątany cały wątek!

Zamiast podnieść wzrok w błękity,
My bluźnili Bogu społem,
Jak nikczemne pasożyty,
Po za cudzym siedli stołem.

Ułowieni w zdradne sidła,
Z pobłażaniem niewolniczem,
Sypaliśmy złym kadzidła,
Dobrych, ostrym siekli biczem!

Bez litości gawiedź lichą,
Spychaliśmy z prostej drogi;
Grzbiet przed ludzką gięli pychą
Co dużemi bodła rogi.

Goniliśmy chciwem okiem,
Błędny ognik co połyska,
Upowity złud pomrokiem,
Ze zgniłego trzęsawiska.

A gdy w piersi brakło tchnienia,
My kapłani lir niegodni,
My piliśmy bez pragnienia,
Ucztowali choć nie głodni!

Tuman szału oczy ślepi!
Kto wypowie te męczarnie?
Ah! zagaśmy światło lepiej,
Niech nas płaszczem noc ogarnie.

S. z Ż. D.

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

W restauracyi pana Rzepczaka, we dnie świąteczne i niedzielne, dawnym obyczajem, stół był zawsze trochę wykwintniejszy, i dawano jakąś przystawkę, przysmaczek... smażone rydzyki, śledzia pocztowego (extra), trochę sardynek, lub rodzaj deseru... choć deser w naszym kraju nie nabył jeszcze praw obywatelstwa. Oprócz tego bielizna w niedzielę bywała świeża i czuć ją jeszcze było tem mydłem od praczki... które poświadcza wymownie, iż przeszła operacyę oczyszczającą. Trafiało się serwetom gości, że je szkaradnie plamiono i że około czwartku podobne były do map, jakich krajów fantastycznych. Rzepczak stał przy zasadzie, żeby nie zmieniano bielizny aż rano w niedzielę. Czasami umywano w ten dzień okna, co u nas też przypada rzadko i nie liczy się do konieczności.

I tego dnia było dziwnie świeżo, a Basia nawet na starym stoliku, w starej musztardniczce postawiła bukiet skromny.

Wchodzący profesor Dygalski przyjemnie był tem zdziwiony, a mały Hustakiewicz nieomieszkał tego przypisać względom dla młodzieży panny Barbary, czego się ona zresztą nie zapierała.

Basia też tego dnia w świeżej sukience, z kwiatkiem we włosach, rumiana, wesoła, śpiewająca — ochoczo się uwijała, rozkładając żelazne grabki i otłuczone talerze. Zapowiadała wszystkim wchodzącym że była — zupa rakowa.

Pan Rzepczak, który świeżo wrócił z kościoła od Ś-go Krzyża, kręcił się zacierając ręce, i zaglądając to do szynczku, w którym był hałas wielki, to do restauracyi o której piękną fizyognomię mu chodziło.

Pierwsi przybyli mieli zabrać swe miejsca, gdy— co się nadzwyczaj rzadko przytrafiało — ukazała się przechodząca przez pokój, właśnie wracająca z kościoła też, panna Maryanna.

Hustakiewicz i Dygalski wstali witając ją. Panienka, acz nie uderzająca pięknością wcale, szykowna była, zręczna, wiele życia miała w twarzyczce, i zajmowała starych kawalerów, szczególniej wyrazem mówiących bardzo oczek, iskrzących się żywo.

Chciała się tylko przesunąć, popatrzywszy po gościach, jakby kogo oczyma szukała, gdy Hustakiewicz ją zaczepił.

— Panna Maryanna — zawołał — nie raczy nam nawet okazać swojego oblicza... a namby nieraz jej wejrzenie samo głód zaspokoiło. Jak Boga mego kocham.

Maryś się roześmiała.

— E! stary bałamut z pana Radzcy — rzekła... tak to się mówi! a moje biedne oczy nawet się na deser nie zdały... Tyle one w życiu się napłakały!

— I dla tego obmyte temi drogiemi łzami, świecą jak dyamenty! zawołał Radzca śmiejąc się.

— A! śliczny komplement! szepnął Rzepczak stojący za panną — choć dygnij za niego.

Marysia z przesadzoną powagą, ująwszy w ręce z obu stron sukienkę — dygnęła... co Basię, rozkładającą widelce, pobudziło do suchego śmiechu, iż sobie usta tłustą ręką zatkać musiała.

— Marysia państwu dodała dobrego humoru, zawołał Rzepczak, a ja mam honor oznajmić, że dziś, niedzielę święcim zupą rakową i kurczętami—faszerowanemi!

Pocałował się w stulone palce.

— A to w samą porę — bo dziś solenizujemy tu jednego z naszych towarzyszów!

— Kogo? pana Emila Drażaka — rzekł Radzca, poczciwego chłopca.

Maryś, która miała odchodzić—zatrzymała się.

— Cóż to? imieniny jego? zapytała.

— Lepiej niż to — dodał Hustakiewicz... Awanowano go niespodzianie, i półtora tysiąca złotych pensyi — mówiono mi — będzie miał więcej. Chłopak ma szczęście.

Maryś się zczerwieniła, oczy jej błysnęły.

— A! to dobra nowina! zawołała uśmiechając się.

— Musi nam butelczynę postawić — rzekł Dygalski.

— Osobliwsza rzecz — wtrącił Radzca — nikt tego nie rozumie, jak się to stać mogło. Chłopiec ubogi, bez protekcyi, a miał współzawodników do awansu bardzo pilnie popieranych. Ręczę że się ani spodziewał... ale — że zasłużył na to... to zasłużył.

Maryś uciekła do swego pokoiku. Zdawało się jej, że ona rozumiała ten awans... widziała w tem tajemniczy wpływ tych... co się losem Tekli zajmowali.

— Panie Rzepczak — dodał Dygalski, obmyśl nam zawczasu co dobrego... abyśmy wypili za zdrowie Drażaka.

— A cóż? — odezwał się gospodarz — ja w te sam-pańskie nie wierzę, to francuzkie pomyje, z pozwoleniem, tylko sobie ludzie imaginują, że to się z wina robi — ono wina nie widziało — sam-pańskiego nie dam — ale węgrzynka butelczynę — *ut, szyk.*

Znowu tedy swym obyczajem — pocałował się w palce.

Przed oknami właśnie ukazał się spiesznie dążący do restauracyi Drażak. Goście powstali z za stołów i z serwetami w ręku, na środek wyszedłszy, gdy na progu zobaczyli, zawołali:

— Vivat! winszujemy!

Emil czerwony był i wzruszony... rzucił się dziękować. Winszowali mu wszyscy i Rzepczak i Basia... a nawet Maryś wyleciała ze swego pokoiku, przybiegła, podała rękę i uciekła.

Ojciec ją śledził oczyma — a był znawca niepośledni niewieściego serca i pomyślał:

— Niech ona sobie gada co chce... on się tam w inszej kocha... to może być — ale ona w nim rozkochana... bestya — to przysięgnę!

Gniewało go to i poszedł coś robić w szafie... bo mu się twarz schmurzyła — nie chciał jej pokazywać.

Tymczasem Emil dziękował jeszcze.

— Gdyby nie przypadek żem dziś zaszedł do mecenasa Borusławskiego, odezwał się — daję panom słowo honoru że niewiedziałbym o moim awansie, tak się go mało spodziewałem.

— E! rzekł Radzca — dzieją się cuda, że zasługa czasem nagrodzoną bywa — a no — w tem wszystkiem jest przecie jakaś zagadka.

— Tak! tak! i dla mnie to jest zagadką — dodał Emil. Jednej się rzeczy lękam jeszcze, aby to nie była omyłka druku.

Dygalski się roześmiał.

— Omyłka nie jest — za to ja ręczę — rzekł Hustakiewicz—w ulicy spotkałem pańskiego naczelnika... potwierdził mi to.

— I cóż mówił? spytał Emil.

— Minę miał tak tajemniczo zamkniętą, a dającą się domyślać nie wiem czego, żem go nie dopytywał aby mu nie odjąć satysfakcyi noszenia się z sekretem.

Był to dzień rzeczywiście szczęśliwy, zupa rakowa udała się przedziwnie, choć suma raków użytych do stworzenia jej była stosunkowo oszczędną. Kurczęta tylko trochę były spalone, a węgrzyn okazał się doskonały. Śmierdział myszą jak należy. W restauracyi panował humor najlepszy i objad przeciągnął się dłużej niż zwykle.

Wysączono jeszcze jedną butelczynę, do której i pan Rzepczak był proszony, temu jednak brwi się marszczyły, wzdychał — stało mu na myśli że ta Maryś tak się w nim kochała.

Już pod wieczór po kawie rozeszli się wszyscy.

Na pensyi też u państwa Filipowiczów, przyniesiona wiadomość, przez profesora o awansie młodzieńca, uczyniła ogromne wrażenie.

Tu, gdy Rabsztyńskiego odprawiono, zaczynało się wyrabiać przekonanie, że też nie koniecznie tam „tak wielkie rzeczy... stoją za panną Teklą."

— Bo to tak się zdaje zaraz. Imaginacyą sobie uczyniono! księżniczka! nie wiedzieć co! a może się okazać, kto wie jakie pochodzenie, dodawszy do tego, że gdyby rodzice byli... ślubni — to by się taić nie potrzebowali.

Panna Eufrozyna zawsze gdy o tem była mowa, dodawała erudycyjną wiadomość, że jeśli rodzice królewskiej byli krwi... a *mniej* ślubni (wyrażała się tak skromnie) dzieci mogły mieć tytuł książęcy nawet. Dowodziła to Ludwikiem XIV.

Po książętach szli Hrabiowie, dalej Baronowie i... aż do prostych szlachciców, których potomstwo w takim razie, szło w świat bez żadnej kwalifikacyi.

Na co Filipowicz odpowiadał, że tak bywało niegdyś, ale że dziś prawa istniały całe inne.

Zachwiane więc było pochodzenie książęce panny Tekli, gdy Filipowicz z włosami rozrzuconemi wpadł powracając z miasta.

— Wiecie, państwo, rzekł (panny Tekli nie było). Wiecie państwo?? Obracał się dokoła, powtarzając ciągle — wiecie państwo?

— Nudny bo jesteś! zawołała żona — sroka czy co? Wiecie państwo? Cóż mamy wiedzieć?

— A jest co wiedzieć! w ulicy spotykam — jak się zowie — tego... Dyrektora wydziału z komisyi sprawiedliwości. Ekstra miły człowiek, do rany przyłożyć. Ile razy spotyka się ze mną, kłania się, wita, za rękę ściska. Ekstra miły człowiek. Piękny jeszcze mężczyzna, łysy trochę... jak się zowie...

Otóż, spotykamy się naprzeciw Krupeckiego... Uścisnął mnie, wiesz asindziej, od wczora—rzekł—chodzę obałamucony, małą rzeczą w istocie, ale dającą do myślenia. Mamy w komisyi młodego urzędnika bardzo, bardzo zacnego, porządnego chłopaka, pracowitego... ale, przed nim też są inni... też chłopcy... no! i z plecami!... Nagle wczoraj omijając innych, jego zaawansowano. W głowę zachodzę...

— Otóż, wiecie państwo kto jest ten awansowany? pan Emil Drażak! Paan-Ee-mil-Draażaak! powtórzył Filipowicz, i ukłonił się.

Wszyscy po sobie spojrzeli.

— A wiecie państwo co to znaczy? dodał — hę? jak się zowie — co myślicie... Tajemnicze wpływy!... z góry... z góry...

I palcem wskazał w stronę pokoju panny Tekli.

— Ale czyż to pewno? spytała pani z Villamarinich.

Filipowicz który się już był uzbroił, dobył z kieszeni papier drukowany i położył go przed żoną.

Panna Eufrozyna pobiegła zajrzeć. Dało to wszystkim do myślenia.

— A po cóżeś go tak odprawił ni w pięć ni w dziewięć — odezwała się żona.

— Ja! ani w pięć ani w dziewięć go nie odprawiałem, zawołał profesor — byłem oburzony, ale ja — nim co uczynię, wprzódy się mityguję, reflektuję, ważę i rachuję... zwlokłem więc — a on mi sam przysłał dymisyę.

— To lepiej — rzekła gospodyni — nie można wiedzieć jak daleko zajdzie... nie trzeba sobie robić nieprzyjaciół.

Dawano właśnie do stołu i na tem się skończyła rozmowa.

Parę dni upłynęło. Emil powracał z biura do domu, gdy mu stróż w bramie oddał list. Na szarym papierze od ręki ostrzyżonym *more antiquo*... stało.

Wielmożny Panie dobrodzieju!

Jeżeli mu godzina ta jest dogodną, prosiłbym go na rozmowę, dla zakomunikowania mu wiadomości w interesie mi powierzonym, jutro, dnia... mca... we czwartek o godzinie dwunastej w południe.

Miło mi zostawać z prawdziwym szacunkiem

W. Pana dobrodzieja

sługą najniższym

N. Borusławski.

Z niecierpliwością oczekiwał godziny dwunastej nazajutrz pan Emil, i nim wybiła, był już w przedpokoju Mecenasa. Regularny jak zegar, stary prawnik otworzył drzwi i poprosił go.

Usiedli na kanapie.

— Polecono mi oznajmić panu iż powzięte o nim informacye — odezwał się Mecenas — jak najpochlebniej świadczą. Przeciwko wydaniu za pana panny Tekli Sierocińskiej nie mamy nic do zarzucenia. Jesteś pan przyjęty przez nią i możesz się uważać za narzeczonego.

Tu odetchnął Mecenas i potarł czoło.

— Wiem o tem—ciągnął dalej, broniąc się dziękującemu Emilowi — wiem o tem, że przesadzone nader chodzą wieści o prawdopodobnym majątku przyszłym panny Tekli. Ludzie czynią wnioski z tajemnicy, którą jej pochodzenie jest okryte — i przypuszczają coś nadzwyczajnego. Majątek panny Tekli dla której wychowania nie żałowano nic—będzie bardzo niewielki. Pan masz teraz około trzech tysięcy pensyi?

— Przeszło trzy — poprawił Emil.

— Panna Tekla, rocznie trzy tysiące mieć będzie. Jest li to dostatecznem?

— Mnie się zdaje — zawołał Drażak. Zresztą, żadnej pracy nie odrzucam, będę jej szukał. Nie nawykłem do zbytków.

— Panna trochę — rozpieszczona — szepnął Borusławski — nie boisz się pan tego?

— Nie — odparł Emil — bo ja sam się nie pieszczę, zatem mogę ją otoczyć czem tylko zapragnie, nawet nie czyniąc z siebie ofiary... Kocham ją, szanuję, wielbię...

— Dobrze — ślicznie — uderzając po kolanie ozwał się Mecenas. Mówmy teraz o ślubie—o przygotowaniach.

— W tem wszystkiem ja się zdaję na pannę Teklę i na pana. Dzisiejsze moje mieszkanie jest nędznem kawalerskiem schronieniem. Około rogatek Jerozolimskich napatrzyłem domek do najęcia, o który się natychmiast umówię i postaram go umeblować.

— Czekaj pan... odezwał się Borusławski — na umeblowanie panu będzie ciężko — czekaj. Weźmiesz meble na kredyt — drogo i liche. Ja ich dostarczę, mam polecenie, skromne ale nie brzydkie i trwałe. Fortepian panna ma... Długów na Boga nie rób...

— Nie mam ich — ale gdyby...

— Żadnych — gdyby — bo nie trzeba.

Z nadzwyczajną troskliwością, najmniejszego nie zapominając szczegółu, Mecenas rozmówił się stanowczo z z Drażakiem.

— Przygotowania wymagają trochę czasu—dodał w końcu — na pensyi nie chce pozostać panna Tekla. Przyjedzie tu pewna staruszka... która jej będzie dodaną do towarzystwa. Weźmie zapewne i jedną przyjaciołkę swą z pensyi — ale — ja — proszę pana... z przyciskiem rzekł Borusławski, abyś zbyt często u narzeczonej nie bywał — szanować ją powinieneś.

Emil się zczerwienił.

— Panie Mecenasie — rzekł -- ta przestroga była prawie zbyteczną —kocham ją bardzo, kocham pierwszą miłością młodzieńczą — ale dla tego że ją kocham... bądź pan pewny, nie dopuszczę nawet pozoru, któryby ją mógł kompromitować...

Na tem skończono rozmowę.

Mecenas prosił Emila aby do niego przyszedł jutro.

Wieczorem wybrał się na pensyę. Kieszeń boczną miał papierów pełną. Chociaż się go tu nie spodziewano — w salonie była lampa jedna i herbata miała się ku końcowi. Ostatnie filiżanki ledwie zafarbowanej wody ciepłej, własnoręcznie rozdawał administrator, gdy ujrzał Mecenasa w progu. Uderzyło go zaraz — oko miał bystre — wyładowanie kieszeni papierami... Usłyszawszy głos —wybiegła ze swojego pokoiku pupila.

Napróżno zapraszał do salonu Filipowicz. Pozwolisz — rzekł Borusławski, naprzód się rozmówić z panną Teklą, potem i my z sobą będziemy też mieli do pogadania — jeśli pozwolisz.

— A herbatki? za rękę chwytając dodał administrator — świeżutkiej zrobię.

Mecenas się skłonił i wszedł z pupilą do jej pokoju. Z oczów mu starała się wyczytać co przynosił, ale w oczach poczciwego starego, gdy on nie chciał, nikt na świecie nicby był nie przeczytał, oprócz zmęczenia nad papierami.

Usiadł przy stoliku, Tekla stała przed nim drżącą.

— Kochany opiekunie! wołała — serce mi bije.

— Niech się uspokoi — przynoszę mu dobrą nowinę, odezwał się Borusławski. Nie mamy nic przeciwko panu Emilowi.

Panna Tekla przyklękła, chcąc go pocałować, ale ją szybko usunął.

— Kiedy się chcesz wynieść z pensyi? spytał.

— A. drogi panie! dziś! jutro... w tej chwili...

— Powoli! na Boga miłego powoli, roześmiał się stary — no — jutro — ściśle biorąc — pod wieczór

będzie mieszkanie gotowe... Bardzo uprzejma staruszka pani Żywaczyńska, uproszona przeze mnie, będzie jej towarzyszyła, co nie przeszkadza byś panna z sobą wzięła swą towarzyszkę.

— Jak tylko się zbierzemy na skromną wyprawę — nic nie przeszkadza do ślubu. Mówiłem z panem Emilem. On też przygotuje wszystko.

— Ale—kochana panno Teklo—posłuchaj mnie— jam stary przyjaciel. Na wychowanie twe nie żałowano, nic to jednak nie dowodzi. Jeżeli ci się zdaje że będziesz bogatą, mylisz się. Mam polecenie zapewnić ci trzy tysiące rocznie, pan Emil ma trochę więcej — życie musi być bardzo skromne.

Spojrzał jej w oczy... oczy się te śmiały.

— Nigdym ja nie marzyła o niczem nadzwyczajnem — odezwała się — wszakże mówiliście mi zawsze że mam się sposobić do stanu nauczycielki. Marzono może koło mnie — jam się takim nadziejom broniła.

Płonęła jej twarz z radości.

— Jutro więc! rzekła.

Ale wnet twarz jej okryła się chmurą... oczy zaszły łzami.

— A będęż na ostatek, choć w tej godzinie co ma o życiu mojem i o szczęściu stanowić — wiedziała kto jestem... zobaczęż, dowiem się...? odezwała się cicho.

— Nie domagaj się tego, moja panno Teklo — odezwał się Mecenas — dla twojego własnego szczęścia to nie może być jeszcze teraz—nie może... Zostaw to przyszłości, wierz że w chwili gdy ci co cię kochają, będą mogli cię o tem przekonać — to się stanie.

Tekla westchnęła.

— Wieczne ciemności — zawsze ta straszna tajemnica!

— Dla twojego szczęścia — panno Teklo kochana — rzekł Mecenas. Pragnąłbym twemu słusznemu życzeniu zadość uczynić — ale — Bóg widzi — jestem związany słowem— nie mogę.

I wnet zwracając rozmowę — Mecenas dobył papiery, potem z kieszeni podarki dla domowych i pieniądze. Tego wieczora wszystko być miało skończone.

Zdawało się z tego co przynosił z sobą, że wszyscy powinni byli być zaspokojeni...

— Chodźmy, rzekł — zdawszy część do rąk pupili — ja muszę kończyć rachunki i wracać do domu — i dać znać pani Żywaczyńskiej.

— A! panie — ale któż jest ta pani!

— Dobra, miła staruszka, która ma tylko poleconem, panience pomagać i do czasu drzwi przed panem Emilem zamykać.

Tekla się zarumieniła, Borusławski szedł z nią do salonu.

Tu już ich oczekiwano, herbata stała gotowa przykryta miseczką, którą sam administrator podniósł i podał filiżankę.

Sterczące papiery z kieszeni były przepowiednią, jakiejś decyzyi stanowczej. Jakoż oświadczył Mecenas iż panna Tekla z żalem, jutro dom ich musi opuścić.

Stał się lament. Ściskano się w koło serdecznie... ale, gdy Mecenas począł papierów dobywać, z jednej strony panna Tekla, z drugiej panna Eufrozyna pierzchnęły — bo rachunki nie znoszą dystrakcyi.

Jak przewidywać było można, Mecenas okazał się w chwili — sądu ostatecznego — bardzo przyzwoitym człowiekiem. Opłacał kwartał jeden tytułem gratyfikacyi — a oprócz tego różne drobne naddatki ofiarował. Pan Filipowicz, do którego, jak wiadomo, kasa nie należała, stał zdala, sama pani zagarnęła asygnaty i pokwitowała „z Villamarinich“. W podpisie niknęła prawie Filipowiczowa. Przypomnienie tego tak powszedniego nazwiska, było jej nadzwyczaj przykre — ale administratora potrzebowała. To trudno — są w życiu konieczności smutne.

Po odebraniu pieniędzy wszyscy chórem zanucili pochwały charakteru, zdolności, cnót, przymiotów panny Tekli.

Pani z Villamarinich upewniała że nie będzie mogła przejść około pokoju, zajmowanego niegdyś przez jej wychowankę, nieuroniwszy łzy — Filipowicz unosił się nad jej muzykalnością. panna Eufrozyna nad kaligrafią... słowem .. cudowna to była istota!

Pochwały te miały tem większe znaczenie, że panna Tekla jeszcze nie miała czasu rozdać pamiątek, które jej przyniósł Borusławski, pierścionka dla pani, wspaniałego portfelu z cyfrą dla profesora, zegareczka dla panny Eufrozyny i t. p.

Po oddaleniu się dopiero Mecenasa... gdy zaczęto ją odwiedzać z ubolewaniami—obdarzyła wszystkich i wprawiła w zachwycenie. Łzy, prawdziwe łzy popłynęły, ani się godzi wątpić, że je wycisnął żal po istocie dobrej, spokojnej, potulnej i przyjaznej. Sama panna Tekla, której było tak pilno wylecieć z pensyi, teraz, gdy się obejrzała po tym pokoiku, w którym tyle lat spokojnych przeżyła i przemarzyła — opuścić dom ten, gdzie jej ludzie sprzyjali i kochali ją — zapłakała i zatęskniła. Trwoga ogarnęła ją na chwilę — przyszłość, choć zdawała się jasną — któż wie co kryła w sobie. Tu tyle wspomnień dziecinnych mieszkało.

Nad wieczór dnia następnego dorożka wiozła pannę Teklę z Mecenasem i Marysią na Długą ulicę. Tu na pierwszem piętrze, czekało wesołe mieszkanko, a w progu jego małego wzrostu, z pomarszczoną twarzą wesołą, staruszka trzymająca pęk kluczów w ręku.

Pani Żywaczyńska, stara dobra znajoma Mecenasa, była ubogą wdową po prawniku, której Borusławski jak mógł dopomagał, bo mąż nic jej nie zostawił. Dzieci nie miała staruszka — obchodziła się małem, mieszkała zwykle na trzeciem piętrze w kamienicy, którą zajmował Borusławski, cerowała mu skarpetki przez wdzięczność i trzymała kanarki. Rzadki przymiot ją odznaczał, w największej biedzie była ze wszystkiego rada, wszystko umiała jak najlepiej tłomaczyć — całe życie była wesołą. Ze szczególnym talentem dopatrywała stron dobrych każdej rzeczy.

A usłużną była i miłą nad wyraz. Oprócz kanarków i skarpetek bawiły ją niezmiernie książki, „pasyami, jak mówiła, lubiła czytać“ nie będąc trudną w wyborze, na czem często kanarki i skarpetki cierpiały.

Gdy jej się książka niepodobała, staruszka, nie rzucając jej, bo musiała doczytać każdą sumiennie, po ostatniej kartce — ruszając ramionami — powtarzała tylko. Co też to ci ludzie nie piszą! Panie Jezu Chryste! Co też to tam w tych głowach!

W pokoikach przygotowanych na przyjęcie panny Tekli, wyświeżono było, wykadzono, a Żywaczyńska z uśmiechem czekała w progu — i — jakby od lat wielu znała sierotę, z czułością wielką, wchodzącą uściskała.

Kochała bo tak bardzo łatwo wszystkich w ogóle, że nie miała w tem nawet zasługi.

(d. c. n.)

Korespondencya z Paryża

przez Autorkę Kroniki zagranicznej

w Bibliotece Warszawskiej.

(Dokończenie).

Pod tytułem *Artyści mego czasu*, znany historyk sztuki Karol Blanc, wydał w obszernym tomie, życiorysy artystów francuzkich, wraz z krytycznym poglądem na ich utwory. Imię jego wielką ma powagę: liczne jego prace krytyczne, mianowicie *Historya malarzy francuzkich*, utorowały mu drogę do Akademii. Świeżo wydane dzieło, tem większe budzi zajęcie, że Karol Blanc wysnuł je z osobistych wspomnień, znał bowiem artystów o których pisze, wsłuchał się niejako w bicie ich serca, zbadał tajemnicę ich twórczych natchnień, był świadkiem ich walk, mozołów i tryumfów.

W żywotny sposób opisuje p. Blanc czasy pamiętnych zapasów romantyzmu z przeżytym klasycyzmem. Malarze we Francyi, uprzedzili poetów, oni pierwsi podjęli nowy sztandar. W roku 1819, Gericault sławnym obrazem *Rozbicie Meduzy*, ukazał nieznaną jeszcze drogę. W owych rozbitkach czepiających się desek strzaskanego okrętu, wyobraził tonącą sztukę. Potrzeba było nadludzkich wysileń, aby ją ocalić od zguby. Wielki artysta umarł na wyłomie ukazawszy innym drogę do zwycięztwa i chwały. Tą drogą puścił się po nim Eugeniusz Delacroix. Z pamiętników Georges Sand wiemy jak ścisła przyjaźń łączyła tego wielkiego artystę z Mickiewiczem i Chopenem. Łatwo pojąć ten związek duchów bratnich. Wszyscy trzej, genialni przedstawiciele romantyzmu, mieli wycisnąć niezatartą pieczęć swoją na obliczu epoki. Mickiewicz miał odrodzić poezyą, Chopen muzykę, Delacroix sztukę malarską.

P. Blanc obszerny ustęp poświęca temu artyście, którym słusznie chlubi się Francya. I dla nas nie może być on obojętnym, raz jako olbrzym na polu sztuki, powtóre jako wierny przyjaciel dwóch olbrzymów, któremi się słusznie zaszczycamy. Powiedzmy też słówko, o twórcy dzisiejszej szkoły malarstwa francuzkiego.

Eugeniusz Delacroix urodził się w Bordeaux, w r. 1799, w rok po Mickiewiczu, na dziesięć lat przed Chopenem. Dzieckiem jeszcze utracił rodziców. Zamiłowany w malarstwie, ledwie że skończył szkoły, pospieszył do Paryża, tu znalazł przytułek w domu ubogiej jak on starszej siostry. Po usilnych staraniach, dostał się wreszcie do pracowni Guerina, najzaciętszego z klasyków ówczesnych. Dziwnym zbiegiem w tejże pracowni uczył się Gericault, Ary-Scheffer, Champmartin, słowem ci wszyscy, którzy mieli popchnąć sztukę nowym torem, i stworzyć szkołę romantyczną, na gruzach zburzonego klasycyzmu. Najściślejsza przyjaźń złączyła młodego Delacroix z Gericaultem. Nieszczęściem krótko przebywali tam z sobą. Gericault wydalony z pracowni za wylaną przypadkiem wodę na mistrza, a przeznaczoną dla jednego z kolegów, schronił się na ubogie poddasze i tam rozpoczął sławny obraz Meduzy. Delacroix często go odwiedzał. Widok genialnego utworu, zbudził w nim iskrę twórczą; umyślił i on poprobować sił własnych. W tajemnicy przed mistrzem, zamknięty w swej ciasnej izdebce, rozpoczął wielki obraz *Łódź Dantego*.

Pomysł sam, zaczerpnięty z Boskiej komedyi, już był nowością w czasach, kiedy sztuka ślepem była naśladownictwem greckich i rzymskich wzorów. Delacroix z niesłychaną potęgą, przedstawił Danta i Wirgillego płynących łodzią po czarnych falach

Styksu, wśród tłumu potępieńców. Dante przerażonem okiem patrzy na straszne widma, które zębami i paznokciami czepiają się łodzi, usiłując wciągnąć ją na dno piekieł; Wirgilli stoi poważny i spokojny, mimo że wiatr Erebu szamocze purpurowym jego płaszczem; uczucie trwogi ziemskiej, nieznane już nieśmiertelnemu! Cudnie to piękny obraz, pełen siły i poezyi, uderzający pysznym i dziwnie harmonijnym kolorytem.

Delacroix w głębokiej tajemnicy ukończył arcydzieło. Gericault i Ary Scheffer jedynemi mu byli doradzcami. Zachęcony przez nich młodzian, umyślił posłać swój obraz na wystawę. Nasunęła się wielka trudność. Zkąd tu wziąść ramy? bez ram obraz przyjętym nie zostanie. Młodzian przemyśla dniem i nocą, wreszcie znajduje sposób. Zbija cztery deski pociąga je żółtą farbą, oprawia w nie płótno— posyła je do Luwru.

Upływa miesiąc. Delacroix z bijącem sercem czeka na wyrok sędziów. Od tego wyroku zależy cała jego przyszłość! Sąd składają klasycy, zawzięci wrogowie wszelkiego nowatorstwa. Otworzono wreszcie wystawę. Delacroix bez tchu w piersi przebiega długie galerye, próżno szuka oczyma, nie widzi obrazu! Chciałby uciec, ale omdlały pod nim nogi. Blady, pomieszany, z rozpaczą w sercu, rzuca się na ławę, zaciska ręce konwulsyjnie, wzrok jego obłąkany.

Zobaczył go wreszcie dozorca.

— Wyobrażam sobie radość pańską — rzecze — przystępując z uśmiechem.

— Radość! a to zkąd? że mnie odrzucono?

— Jakto? czyżeś pan nie widział swego obrazu w wielkim salonie? Baron Gros kazał go oprawić kosztem administracyi, bo ramy pańskie popękały.

Delacroix zrywa się, leci pędem strzały do wielkiego salonu. Widzi swego Danta na miejscu honorowem — nie wierzy własnym oczom. Tam go umieścił Gros, w którym Gericault uznawał jedynego wówczas przedstawiciela szkoły francuzkiej.

Obraz Danta wielkie sprawił wrażenie. Pomimo wad rysunku, uderzała w nim niesłychana potęga życia, nadzwyczajna śmiałość w rzutach pędzla i kolorycie. Całe grono postępowych krytyków podniosło z zapałem ten oryginalny utwór. Thiers porównał młodego malarza z Rubensem i Michałem Aniołem.

Uszczęśliwiony Delacroix prosto z Luwru pobiegł do pracowni barona Gros. Zadzwonił blady i drżący od wzruszenia. Gros otworzył mu, trzymając w ręku paletę.

— Przychodzę podziękować panu — wybełkotał Delacroix.

— Podziękować? a za co?

— Za ramy do mego obrazu.

— Ha... to ty młodzieńcze wymalowałeś łódkę Danta.

— Tak panie!

— Stworzyłeś arcydzieło... zapewne bez wiedzy!... za młody jesteś aby ocenić wartość twego utworu. To nowy Rubens! ale kochanku nie umiesz rysować... Przychodź tu, nauczymy cię...

Delacroix pochylił głowę z uszanowaniem, potem rzucił okiem po ścianach, pożerał oczyma rozwieszone obrazy.

— Muszę odejść, rzekł Gros. Zabaw tu póki chcesz, zostaw tylko klucz u odźwiernego.

Młodzian pozostał. Z zachwytem przyglądał się *Zapowietrzonym w Jaffa; bitwom pod Eylau i Abukir*. Pyszne te obrazy, malowane dla cesarza Napoleona, oddawna zdobiły galeryę Luwru. Rząd odesłał je artyście za powrotem Burbonów.

Przed wieczorem Gros powrócił do pracowni.

— Jak to? zawołał—jesteś tu jeszcze! Od trzech godzin przyglądasz się moim malowidłom; nikt jeszcze nie uczynił mi tak wielkiego zaszczytu! Przychodź tu, powtarzam ci, nauczysz się rysować i będziesz ozdobą szkoły naszej!

Snadno pojąć jak dzielnego bodźca słowa te dodały artyście. Z nowym zapałem pochwycił za pędzel i stworzył nowe arcydzieło *Rzeź w Scio*, ustęp ze smutnych dziejów ujarzmionej Grecyi.

Umarł Gericault; Delacroix boleśnie uczuł pocisk, stracił w nim nietylko przyjaciela młodości, ale współszermierza w torowaniu dróg nowych. Odtąd cały ciężar odpowiedzialności spadał na jego głowę; śmiało jednak wystąpił do walki, sam o własnych siłach podjął sztandar romantyzmu, zapewnił mu tryumf i stworzył nową szkołę.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

po Szwecyi i Norwegji.

przez **Alberta Vandal.**

(Streszczone przez J. B.)

(Ciąg dalszy).

Spocząwszy kilka godzin, wstaliśmy bardzo rano. Słońce odbijało się w tysiącznych kroplach rosy, odzwierciadlało w błyszczących wodach. Mgła poranna wieńczyła poetycznie dalekie wzgórza. Silljan roztaczający przed nami swe pale, podobniejszy jest do gwiazdy z wody, niż do jeziora; rozrzuca na wszystkie strony kręte swoje ramiona, wijące się wężowato i ginące wśród zieleni. Z zachwyceniem wpatrujemy się w prześliczny krajobraz, nigdzie jednak nie widać mieszkań, brak tu człowieka. W tem nagle ze wszystkich skrętów i załamów jeziora, ze wszystkich krańców horyzontu wysuwają się wielkie lekkie łodzie, pomalowane na czerwono, niebiesko lub żółto, i kierowane zręcznie przez pięćdziesiąt wioślarek. Te różnobarwne pirogi, przywożą całą ludność wielkich czterech parafji na nabożeństwo niedzielne.

Każdy gaard ma swoją łódź wyłącznie na ten cel przeznaczoną; jest to pamiątka rodzinna przekazywana z pokolenia na pokolenie. Wieśniacy przywdzieli świąteczne szaty, starowiecznego kroju, moda nie przedarła się jeszcze do Lecksand. Oko z zajęciem wpatruje się w te dziwaczne stroje, w których barwy czerwone, niebieskie, zielone i żółte mieszają się jakoś nie rażąco, dzięki wrodzonemu smakowi i poczuciu piękna mieszkańców. Wioślarki mają na sobie długie białe spódniczki, podpinane czerwonemi kokardami; młodzi wieśniacy białe kaftany z pod których wyglądają szkarłatne kamizelki. Ojcowie rodzin przywdzieli suknie z szerokiemi połami, trzewiki ze sprzączkami i koronkowe żaboty. Wieśniaczki mają na sobie krótkie pstre spódniczki, gorsety zdobne klejnotami i jakiś dziwny strój na głowie.

Delekarlijanie zachowali zamiłowanie do barw swoich; każda parafija, każda rodzina ma swoje ulubione kolory. Nasz gospodarz pokazywał nam mieszkańców każdego kantonu, opowiadał jego dzieje, wspomnienia i czyny. Mówił złą niemczyzną, rozumieliśmy się jednak. Oto, rzekł, mieszkańcy starożytnej Mory, gdzie przodkowie nasi zgromadzali się radzić o sprawach państwa i wybierać króli. Ci znowu, to synowie Elfdal'u, gdzie żyły porfyru przerzynają górę; ztamtąd to pochodzi grobowiec Bernadotte'go w krypcie Riddarsholmu. Oto górale z Ornas i z Rattvik, gdzie wychowują niezliczone trzody, oraz ze Stalheim'u słynnego z piękności swych dziewcząt". Łódź nadpłynęła, mogliśmy się przekonać że sława ta była zasłużoną.

Łodzie, długie jak pirogi, zwolna przybiły do brzegu; wieśniacy wysiedli, wioślarki lekko wyskoczyły na ląd. Każda miała zawiniątko które rozłożyła nad brzegiem; zrzuciły prędko białe a przywdziały wzroczyste spódniczki i jasne staniki; szyje przystroiły srebrnymi łańcuchami, ręce bransoletami. I tak w oka mgnieniu w obec wszystkich zmieniły toaletę.

Wszyscy zwrócili się na drogę wiodącą do kościoła; w rękach trzymali duże księgi; przodem szły dzieci śpiewając nabożne pieśni. Kapłan oczekiwał ich w progu świątyni, a że kościół był za mały na taką liczbę wiernych, wszedł na małe wzgórze i tam mówił kazanie. Słuchacze otoczyli go kołem, słuchając uważnie nauki, a my patrząc na nich podziwialiśmy oblicza tchnące niewymowną prostotą, prawością i spokojem, i ceniąc ich wysoko za tę cześć dla tradycyi rodzinnych, tak dalece, iż uważaliby sobie za świętokradztwo naruszyć zwyczaje uświęcone wiekami.

Od niepamiętnych czasów Delekarlijanie co niedziela przybywają do kościoła Lecksand, w lecie długiemi łodziami, w zimie saniami. Nigdy nie zaniedbują tych pobożnych wycieczek. Ale otóż nadciągają dwie jakieś zapóźnione łodzie; w jednej znajduje się nowonarodzone dziecię, mające przyjąć chrzest święty; rozpostarty nad drugą żałobny baldachim przypomina wiecznie kirem pokryte gondole, z tej na wybrzeże wyniesiono trumnę.

Nowonarodzony, ochrzczony w naszej obecności kiedyś w tymże samym kościele zawrze śluby małżeńskie, tu po śmierci zawita po raz ostatni, po życiu spędzonem jak żyli jego ojciec i dziadowie. Czyż trzeba aż podróżować do Lecksand, w głębi Delekarlji, aby znaleść krainę gdzie umieją jeszcze żyć i umierać jak żyli i umierali ojcowie i nad-dziady?...

V.

SŁOŃCE O PÓŁNOCY.—LUDWIK-FILIP W LAPONJI.—GÓRA AVASAXA.—ŚWIĘTO SŁOŃCA.

W dzikiej dolinie Torneå-elf w Laponii, na krańcach Szwecyi i Finlandji rossyjskiej, pod kołem biegunowem, ostry cypel góry Avasaxa panuje nad amfiteatrem gór, jakby obserwatoryum wzniesione przez przyrodę dla śledzenia zmian fenomenu astronomicznego jaki corocznie powtarza się pod tą szerokością. Dnia 24 czerwca, słońce ukazuje się tu o samej północy. Obniża się ono na horyzoncie, dotyka brzegów ale tarcza jego nie znika ani na chwilę i w krótce zaczyna wznosić się coraz wyżej; dzień wczorajszy jeszcze się nie skończył a już zaczął się jutrzejszy.

Mieszkańcy północnej Szwecyi obchodzą tej nocy (24 czerwca) uroczystość której nadają charakter religijny, ale prawie pogański. Długo bardzo niektóre ludy północne czciły słońce, a choć następnie przyjęły chrystyanizm, potomkowie ich nie przestali otaczać zabobonną czcią dawnego bóstwa, tej świetnej gwiazdy która w tym klimacie zimnym i ciemnym, błyszczy im krótko tylko, ale przedstawia obraz życia. Pod dobroczynnem działaniem słońca, w przeciągu kilku tygodni zboże kiełkuje, rośnie i dojrzewa, a kwiaty, tak rzadkie w tych strefach a takie upragnione, otwierają swe kielichy. Pod-

czas krótkiego swego tu pobytu wspaniałe i wszechpotężne słońce nie schodzi z nieba, znosi noc, miesza promieniowanie zachodu z promieniowaniem jutrzenki, jak gdyby chciało wynadgrodzić tym posępnym strefom ich ośmio-miesięczną ciemność.

W wieku XVIII-ym goniący za przygodami poeta francuzki Regnard, uważał się za Krysztofa Kolumba tych okolic. Zwiedził zatokę Botnijską aż do ujścia Torneå-elf, dotarł do Lapończyków, wszedł na górę Avasaxa i na pamiątkę swego pobytu w tych okolicach napisał po łacinie w księdze pocztowej w Sakajerwi, chełpliwe te słowa:

„Musiałem się zatrzymać, bo zbrakło już świata".

Regnard zostawił dowcipny opis swej podróży, szkoda tylko że wyobraźnia większą w nim niż prawda odgrywa rolę. Wielu uczonych i sumiennych podróżników zwiedzało po nim te strony, i przekonali się że zaledwie przekroczył granice Laponji, której jak się wyraził „wszystkie wydarł tajemnice".

Obecnie statki parowe kursują reguralnie między Sztokholmem a Haparanda, miastem leżącem na północnym krańcu zatoki Botnijskiej; z Haparanda droga bita prowadzi do stóp góry Avasaxa, na przebycie jej potrzeba dwudziestu godzin. Tak więc podróż ta nie nastręcza wielkich trudności i dla tego też przybywa tu rok rocznie znaczna liczba turystów, pragnących poznać tę część stref północnych zamieszkaną przez Findlandczyków, a którą tak często przebiegają Lapończycy, jako też widzieć jeden z najświetniejszych fenomenów, jaki słońce objawia światu, lub nareszcie aby módz powiedzieć że widzieli inni.

Drogę ze Sztokholmu do Haparanda mieliśmy odbyć na parowcu *Thule!* Statek ten zatrzymuje się po drodze w wielu portach i dla tego podróż na nim trwa dość długo, nie przykrzy się jednak bo okolice zajmują powabem nowości i pasażerowie mają zapewnione wszelkie wygody.

Opuściliśmy Sztokholm 18 czerwca. Stojąc na pokładzie wpatrywaliśmy się w uciekające przed nami domy i parki pięknego tego miasta! Z oddali, siedm wysp składających Sztokholm zdawały się zlewać w jedną, ale szczyty ich nierównej wysokości piętrzyły się stopniami, jakby kilka miast wyniesionych jedne nad drugie, a pod nad niemi sterczały wysokie wieżyce Św. Hedwigi. Nagle zatoka załamuje się, szereg gór zasłania dotychczasowe krajobrazy, następuje zmiana dekoracyi. Góry zamieniają się w wzgórza; miriady skał wyłaniają się z głębi wód i spienione fale rozbijają się o nie do koła parowca; tu i owdzie spotykamy płaskie lesiste wysepki, podobne do pływających lasów. Archipelagi pojawiają się jeden za drugim, i gdy zdaje się że już na pełne wypłyniemy morze, nowe ławice zieleni zagradzają nam drogę. Coraz zmieniające się kontury, zaledwie naszkicowane horyzonty, niezliczony labirynt wysp, przylądków i międzymorz, ziemia niknąca pod czarną, gęstą roślinnością, oto jak przedstawiają się wybrzeża Baltyku. Mieliśmy przed oczami tę ziemię korsarzy, wyzywającą przez wszystkie czasy zuchwałą śmiałość morskich rozbójników, gdyż zapewniała im bezpieczne schronienie podczas burzy i doskonałe zasadzki w których mogli czatować na zdobycz. Z głębi tych kryjówek napadali na miasta, pałace lub opactwa i zrabowawszy kryli się w labiryncie wysepek. Z kolei i mieszkańcy tych peryodycznie pustoszonych okolic zostali także korsarzami i wzajemnie napadali na siebie rabując po obu wybrzeżach Baltyku.

Oto co opiewa *Saga*.

„Pewnego razu, Agne, król szwedzki, powracał do państw swoich wraz ze swymi śmiałymi wojakami. Zrabował Finlandyą a króla jej własną zamordował ręką. Jednakże ze zdobytych łupów, nie zatrzymał dla siebie złotych ani srebrnych naczyń, ani nawet broni stalowej, nad złoto cenniejszej dla korsarzy, ale jedynie córkę zamordowanego króla i płynąc na swoim okręcie, monarcha ten wpatrywał się z rozkoszą w czyste jak czerwcowe niebo oczy pięknej Skialty.

„A krew króla finlandzkiego zbroczyła ziemię i wołała o pomstę!

„Przybywszy na miejsce gdzie później stanąć miał Sztokholm, wojacy wyciągnęli łodzie na wybrzeże, zawiesili hełmy na drzewach i oddali się pijatyce. Skialta znakomitszym podawała po kolei pełne czary miodu, a ilekroć przechodziła koło króla, zatrzymywał ją i pieścił. Nie broniła się.

„A krew króla findlandzkiego zbroczyła ziemię i wołała o pomstę.

„W krótce wszyscy wojacy zasnęli ciężkim snem pijaństwa; wtedy Skialta przysunęła się do króla, mordercy swego ojca i długo wpatrywała się w niego gdyż był bardzo piękny, poczem pochwyciła własny miecz jego i utopiła go w jego gardle. Następnie pobiegła do swoich towarzyszy niewoli i poprzecinała ich więzy; oswobodzeni skoczyli do łodzi i uciekli.

„A krew króla findlandzkiego nie wołała już o pomstę!"

Między towarzyszami naszej podróży znajdowało się trzech Amerykanów, którzy już po raz trzeci odbywali tę drogę. Gentlemeni ci przerzucając pewnego wieczora *Murray o English gnide in Sweden and Norway* postanowili sobie udać się na górę Avasaxa, aby z jej szczytu zobaczyć słońce o północy. Jakoż wybrali się niezwłocznie w podróż do Europy, a d. 23 czerwca, pomimo ulewnego deszczu, wdzierali się na wierzchołek góry; ale gęste chmury zasłoniły niebo, słońce nie raczyło się pokazać. Powrócili w roku następnym, znowu deszcz i chmury zasłoniły dzienną gwiazdę. Teraz tedy poraz trzeci w tym jedynie celu przybyli ze stanu Maryland, i poważnie przechadzali się na pomoście, nie okazując ani zajęcia ani też znużenia, i dając nam żywy przykład tej wytrwałości anglo-saksońskiej, którą pokonali Napoleona i zkolonizowali Nowy-Świat.

Wspaniałość nocy północnych wynadgradza nużącą jednostajność dni. Z nadejściem chwili zachodu słońce powoli bardzo i jakby z żalem opuszcza horyzont, roztacza na Zachodzie ogniste promieniowanie, przyodziewa przyrodę we wszystkie barwy niebieskiej palety, które jednocząc się, mieszając, stopniując, rozchodzą się po niebie, czepiają chmur, błyszczą na szczycie bałwanów, lub mienią się na jednostajnej powierzchni zatok. Niekiedy słońce kryje się po za szańcem chmur, snujących się posępnie jakby nastrzępione krwią lub złotem i unoszących po nadbrzeżnemi wzgórzami, tworząc jakby jakiś fantastyczny tylny plan, jakby granice nieznanych przestrzeni, wyłaniających się po za krańcami rzeczywistego świata. To znów tarcza słoneczna opuszcza się na bezchmurnem niebie, po nad rozpłomienione morze, a gdy już zniknie obok purpurowej smugi jaką zostawia za sobą, niezwłocznie ukazuje się na firmamencie czerwonawa plama, która blednąc poprzedza i zapowiada pojawienie się jutrzenki.

Miasteczka w których *Thule* zarzucał kotwicę nie różniły się prawie od innych już nam znanych. Po dwudziesto-cztero godzinnej żegludze zatrzymaliśmy się *w Gefle*. Jest to czyste i dobrze utrzymane miasteczko, w pięknem położeniu, poprzerzynane tu i owdzie kwaterami kwiatów. Gelfe jest zbudowane z drzewa i pali się prawie regularnie co jakie lat dziesięć. W r. 1869 pożar zniszczył go całkiem w przeciągu dwóch godzin; 4,000 mieszkańców znalazło się nagle bez dachu i schronienia; obecnie już Gelfe odrodziło się z popiołów i zachowało dawną wesołą postać. Domy ubarwione, upstrzone, pokostowane, błyszczą czystością tak że blaskiem swym prawie rażą oczy: patrząc na nie przychodzi na myśl że chyba co wieczór chowają je do pudełka, i dopiero rano, gdy się już wystroją, ustawiają na swojem miejscu, i to jeźli się nie zanosi na niepogodę.

W wioskach leżących pod miastem, najuboższe nawet domki kryją się w pośród kwiatów; w końcu czerwca flora jaśnieje wiosenną świeżością. Tarnina, która w innych strefach zaledwie przez dni kilka pokrywa się białem kwieciem, nietrwałym jak śnieg marcowy, tu zaściela całe łąki swemi białemi lub różowemi kiściami kwiatów, tworzy piękne gaje i jest raczej drzewem niż krzewiną. Bzy uginają się pod ciężarem gałęzi, wonnym obsypanych kwieciem.

Szwedzi namiętnie lubią kwiaty; aby je zachować podczas zimy, mieszkania swoje zamieniają w cieplarnie. W każdem oknie można zobaczyć jakiś rzadki kwiat zdobiący i rozweselający najbiedniejsze mieszkanie.

Mieszkańcy tych okolic odznaczają się łagodnością i poczciwością; tak we wsiach jak i po miasteczkach nie ma ani żandarmów ani straży wiejskiej, obowiązki te wypełniają z kolei sami mieszkańcy. Improwizowana ta policya bardzo ściśle pełni swe obowiązki, nie przepuszczają najlżejszego wykroczenia ani przestępstwa, a gdy złożą swą przelotną władzę, nie tracą zaufania współziomków, którzy żadnej do nich nie czują niechęci. Jak aresztowali bez skrypułu tak też abdykują bez najmniejszej obawy. Właściciele i dzierżawcy, państwo i słudzy nie piszą tu kontraktów i żadnych nie robią umów; uścinienie ręki i podarunek ofiarowany i przyjęty i na tem koniec. Po upływie roku obie strony wolne są od zobowiązania, chyba że znów daje się i przyjmie podarunek, w takim razie umowa uważa się jako na rok odnowiona.

Na kilka dni przedtem w pewnem mieście w Dekarlii spotkaliśmy transport więźni: żołnierze konwojowali, ze dwudziestu chłopów, skazanych na dziesięć lat do ciężkich robót, za to że nie kontenci z przysłanego im bajlego, poszli do niego wypowiedzieć mu swoje zarzuty, a niezadowolnieni odpowiedzią, trochę go poturbowali. Stawieni przed sądem, żaden się nie zapierał ani bronił; odprowadzono ich po wyroku do miasta z którego koleją żelazną mieli się dostać do miejsca gdzie mieli odsiedzieć karę. Pociąg się spóźnił; skazańcy, którzy nie byli ani związani ani strzeżeni rozbiegli się po mieście, stawali i rozmawiali po ulicach, a gdy dano znak odjazdu nie brakło ani jednego. Żołnierze nie pilnowali swoich więźni, a przecież żadnemu ani na myśl nie przyszło uciekać dla uniknięcia kary, gdyż sami uznawali że na nią zasłużyli.

Gdyśmy wylądowali w Sundswall, uderzyły nasze oczy ogromne żółte afisze porozlepiane na murach. Stało na nich wielkiemi literami: *„Pani Arcyksiężna*, opera paryzka, Jakóba Offenbach". Czyż trzebaby dotrzeć aż do samego bieguna północnego aby dosięgnąć krańców gdzie nie przedarła się jeszcze muzyka Offenbacha?

W Pitea po raz pierwszy wkroczyliśmy na administracyjną ziemię Lapońską, zwaną przez Szwedów Lappmarck, co zaś do Laponii geograficznej, granic jej oznaczyć trudno. Lapończycy składają kilka tysięcy koczujących rodzin; podczas zimy rozkładają swoje namioty aż w głębi Szwecyi i Norwegii, a niekiedy nawet na lodach Newy, w pobliżu Petersburga. W lecie przenoszą się do niedostępnych prawie

puszcz Północy, na równiny mchów któremi żywią się ich renifery, dające im pożywienie, odzież i służące do pociągu.

Thule miał zatrzymać się kilka godzin w przystani Pitea, korzystając z tego wylądowaliśmy i omijając gromadkę drewnianych domów i składających miasto, zapuściliśmy się w otaczające go okolice, tu po raz pierwszy przedstawiła nam się przyroda Północy, w całej swej ponurej posępności. Od wczoraj krajobraz zmienił się zupełnie; ani kwiatów, ani nawet źdźbła trawy, zaledwie gdzie nie gdzie jakaś mizerna sosna, jakby cudem z pośród skał wyrosła; korzenie wiły się w rozpadlinach skał, szukając tam choć odrobiny roślinnej ziemi. Wdrapaliśmy się na wzgórze z którego szczytu ukazały nam się liczne jeziora, jeżli można tak nazwać ogromne kałuże, których woda jest bezbarwna, nie mają pewnego oznaczonego kształtu ani ram w któreby były ujęte. W klimatach umiarkowanych, jeziora zdobią i ożywiają krajobraz, przyroda oprawia je, jakby drogie klejnoty, w swe najkosztowniejsze szaty, zaś jeziora lapońskie, są to raczej bezmierne rozpadliny. W oddali rysowały się nagie szczyty gór, których podnóże ginęło w gęstej mgle; na pierwszym planie roztaczały się jak okiem dojrzeć stepy nieco faliste, całe zasiane dużemi kamieniami, z zieleniałemi od mchu jakim porosły, które do połowy zagrzęzły w czarniawej wilgotnej ziemi. Gdzie niegdzie, niby ciemne plamy, można było dojrzeć kilkanaście chudych krów, pasących się nędznym mchem. Niebo, tak zazwyczaj świetne gdzieindziej, nie było tu ani błękitne, ani czarne, ani jasne, ani posępne; zaćmione choć nie mgliste, było matowo białe, jakby wypełzłe. Najlżejszy szmer nie przerwał grobowego milczenia zalegającego tę opustoszałą przyrodę, i mimowolnie przychodziło na myśl: czy te kamienie zaścielające całą przestrzeń nie padły tu skutkiem gniewu Bożego, dla ukamienowania tych stref wyklętych.

(*d. c. n.*)

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska październik, listopad i grudzień 1876 r.

W dalszym ciągu swych wspomnień p. n „Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia“ (zeszyt październikowy) p. Wójcicki przebiega dawne doroczne obrzędy i zwyczaje od wilii Bożego Narodzenia do letnich miesięcy, dziś już po większej części przebrzmiałe i zaginione. Ciekawem jest np. to co autor mówi o przedstawianych przez pauprów dyalogach i ówczesnych szopkach: było tam więcej niż dzisiaj żywiołu historyczno-narodowego, a mniej ulicznego i książkowego. Jeden z takich dyalogów, widział sam autor i przytacza po krótce jego treść: występuje tam Sobieski z rycerstwem, śpiewano piosnki o zwycięztwach nad Turkiem, a owa „Małgorzatka“ szopki tańczyła jeszcze z pancernym husarzem. Na gwiazdkę obdarzała dzieci figura „pana Heilige Chrysta“ z niemiecka tak od od czasów pruskich zwana. W czasie pasterki młodzież rzemieślnicza na chórze kościelnym udawała głosy różnych zwierząt i ptaków, ale gdy ten koncert przeszedł w nadużycie, zabroniono go całkiem. Opowiada dalej autor obyczaje wielkopostne i wielkanocne; pomiędzy ostatnimi także wymienia „topienie Judasza“ — słomianego bałwana, który czeladnicy zrzucali z wieży kościoła P. Maryi na Nowem Mieście a potem topili w Wiśle.

Dokończenie tych wspomnień mieści się i w dwóch pozostałych zeszytach, w listopadowym p. t. „Typowe postacie i okolice dawnej Warszawy“ i w grudniowym p. t. Okolice Warszawy. Mamy tu, między innemi, szczegóły o życiu domowem Walentego Skorochoda Majewskiego, „metrykanta koronnego“, który pierwszy zajmował się u nas językiem sanskryckim, Tomasza Święckiego, autora „Starożytnej Polski,“ Magiera znanego meteorologa i fundatora kompasów w Warszawie i t. d. Są tu jeszcze ciekawe wiadomości o zajściu pomiędzy Trembeckim i ks. Józefem, zaczerpnięte z opowiadań dworzanina Potockich Krajewskiego i niemniej zajmujące wspomnienia o Joannie Żubrowej, która służyła wojskowo jako sierżant w tym samym pułku, gdzie mąż jej Maciej Żubr był porucznikiem. W 1812 roku sierżant-żona ocaliła życie porucznikowi-mężowi; pomimo to jednak porucznik, wskutek waśni małżeńskich, pakował nieraz, jako przełożony, swego sierżanta do kozy za niesubordynacyą. Żubrowa uchodziła w pułku za młodszego brata swego męża. Autor mówi że znał ją w 1816 roku. Z osób spółczesnych wypadkom ostatniej połowy XVIII wieku autor wspomina słynnego Kuźmę, który ocalił Stanisława Augusta od konfederatów, niejakiego szlachcica Jacentego, który umknął z pod miecza katowskiego i często potem mawiał że jest ten, którego kat ciął, ale nie ściął; przytacza nadto jedną z dykteryjek o Potockim staroście kaniowskim i opowiadanie Antoniego ostatniego kapelmistrza dworu biskupów krakowskich książąt na Siewierzu.

Niektóre z wspomnień autora o okolicach Warszawy — Woli, Czerniakowie, Bielanach i t. d., tak historyczne jak i prywatne, znane są nam już i z innych prac p. Wójcickiego a mianowicie z poprzedniej seryi jego wspomnień o Warszawie i z pracy umieszczonej przed laty w Bluszczu, p. t. Trzy wieki niewiasty polskiej, gdyż nie jeden szczegół tu się powtarza; zawsze jednak warto odświeżyć sobie w pamięci wiele z tych ciekawych wiadomości. Sceny i zarysy życiowe, a nawet przygody romantyczne, rozproszone tu i owdzie, mogłyby posłużyć za przedmiot do powieści. W zeszycie grudniowym ciekawe są podane przez autora koszta utrzymania się w Warszawie i ceny różnych produktów przed 1830 rokiem, wynoszące mniej więcej $1/3$ albo nawet $1/4$ cen i kosztów obecnych.

Dokończenie opisu Podola przez pana Krauzego (w zeszycie listopadowym) zawiera obok wielu wspomnień ciekawych i ważnych danych statystycznych, także sporo szczegółów zbyt drobiazgowych i podrzędnych; styl i język dość zaniedbane.

Krótka lecz treściwa praca p. Kraszewskiego p. n. Metoda Bakona (w tymże zeszycie listopadowym) zawiera zwięzły zarys zasad tego ojca metody empirycznej, na podstawie dzieła Wiszniewskiego podany. Dzisiejszy pozytywizm uważa Bakona za swego protoplastę, choć nie całkiem słusznie; przynajmniej że Bakon nie był ateistą, świadczy przytoczone przez autora artykułu jego słowa: „troszka filozofii naturalnej skłania umysły ku ateizmowi; głębsza tej nauki znajomość sprowadza je ku religii“.

W zeszycie grudniowym p. F. Jezierski podaje kilka uwag o Homerze i zapowiada nowy całkowity przekład Iliady, przez siebie dokonany którego próbkę — przekład XXII pieśni, umieszcza. Co do owych uwag wstępnych, tyczących się głównie kwestyi autorstwa Homera, są one zapobieżne i niewyczerpujące; co się zaś tyczy potrzeby nowego przekładu Iliady, nie każdy zupełnie zgodzi się z autorem. „Poemat o gniewie Achillesa (Iliada) jest to świątynia z relikwiami, do której pielgrzymka hołdu od każdego pokolenia wysyłaną być powinna“ mówi autor i słusznie; ale zdaje się że teraz właśnie nadeszła pora wykonania przekładu, zgodnego z nowszemi pojęciami w tej kwestyi Na zachodzie np. Niemcy i Anglicy od dawna uznali, że przekład Homera powinien być dokonany wierszem zbliżonym do miary oryginału to jest nierymowanym hexametrem: takim np. jest przekład niemiecki Vossa, który nadługo jeszcze pozostanie wzorowym. U nas tylko jeszcze ciągle tłómacze poetów starożytnych trzymają się uporczywie wierszy rymowanych starego zakroju, w których liczba zgłosek, rym i średniówka stanowią całą istotę „mowy bogów“. Taki wiersz w przekładzie nie odtwarza ani w przybliżeniu harmonii oryginału, a przecież powinno chodzić trochę i oto, ażeby nie tylko treść, ale i formę oryginału oddać. O ile możności, choć w przybliżeniu. Sylabiczny ów wiersz rymowy nadaje przekładom cechę zupełnie nowożytną, a obce poezyi starożytnej rymy są dla tłómacza, który chciałby być wiernym oryginałowi, prawdziwemi kajdanami i czynią każdy przekład tego rodzaju jedynie bliższem lub dalszem naśladowaniem. A jednak nawet i w zwyczajnej naszej poezyi samorodnej w ostatnich czasach zamiast sylabicznego wiersza wchodzi w użycie bardziej prawidłowy, miarowy (naśladujący następstwem akcentów miary wierszowe innych języków), a i hexametr, jak tego dowiódł już Mickiewicz w pieśni Wajdeloty („Zkąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wycieczki“ i t. d.) bynajmniej nie jest w języku polskim niemożliwym. Ponieważ tedy poemata homeryczne są ułożone wierszem hexametrycznym nierymowanym, dla czegóżby nie spróbować podobnego przekładu? Byłby to pierwszy w literaturze naszej, odpowiedni wzmiankowanemu przekładowi Vossa, którym słusznie chlubią się Niemcy. Nadto, naśladowań rymowanych posiadamy już dosyć: przekłady Dmochowskiego i Przybylskiego wystarczają i dziś jeszcze, a bardzo nie wielki pożytek odniesie nasza literatura, gdy przybędzie jej jeszcze jedno naśladowanie w nowożytnej rymowanej szacie, które tem tylko różnić się będzie od poprzednich że tu i owdzie inne wyrazy i zwroty oryginału będą opuszczone lub przeinaczone, a inne znowu dodane dla rymu. Taki nowy przekład zupełnie jest zbytecznym. Z próbki podanej przez p. Jezierskiego widzimy z żalem, że i on poszedł tą samą błędną, podług naszego rozumienia, drogą. Jego przekład XXII pieśni Iliady jest także tylko naśladowaniem Iliady niezawsze udatnem. Znajdujemy tu dużo wyrażeń błędnych i nowoutworzonych jak np: *Ilian, Ilianki, pogońca, najściglejszy, lśniwo-hełmaty, potrząśca, obliczów* i t. d. a prawdziwie poetycznego kolorytu niewiele, częściej obcą Homerowi napuszoną przesadę jak np. w tych wierszach:

> .....iście to gwiazda wschodząca
> na jesień, co w płomieniach lśniących się rozpławia,
> żywiej nad gwiazdy mnogie nocnego *bezmgławia?*

Homer nie przemawia tak szumnie: mówi on po prostu (Iliad XXII w 26-8: „jak gwiazda, podnosząca się nad doliną, gdy wschodzi na jesieni, a świetne jej promienie jaśnieją na początku nocy pośród gwiazd mnogich“.

Albo np. następujące wiersze p. F. J.:

> Oto Achilles głową skinął na lud grecki,
> by mu Hektora pocisk nie przeszył zdradziecki,
> *nie zostawił zwycięzcy przy drugim pocisku*

te wiersze są nawet ciemne i nieobeznany z oryginałem czytelnik nie domyśli się, o co tu chodzi. U Homera czytamy dosłownie (w 205 — 207) „Bozki Achilles dał głową, znak ludowi i nie pozwolił wypuścić ostrych strzał na Hektora, żeby ktokolwiek weń ugodziwszy, nie odebrał mu sławy i żeby on (Achilles) nie drugi dopiero zdążył (lecz pierwszy)“. Porównanie obu ustępów z przekładem pana J. do-

statecznie wykazuje jak oddalonem od oryginału jest jego naśladowanie. Cała mniej więcej pieśń ma te same cechy, ale już więcej na tem miejscu próbek przytaczać nie możemy.

W przekładzie dramatu hiszpańskiego „Grazalema" wiersz gładki i zręczny, a lirycznych zalet w nim sporo, żadna jednak nowa myśl podniosła nie cechuje tego utworu. Już z samego tytułu, obeznany nieco z monotonnością maurytańskich tematów hiszpańskiej literatury czytelnik domyśli się że tu znajdzie kolizyą rycerstwa chrześciańskiego z arabskiem, nawróconych Maurów lub zbisurmanionych chrześcian, wpadających wskutek tego wcale w nienowe, dostatecznie ogadane sytuacye, które w ogóle już nas interesować przestały, już z powodu swej wiecznej monotonności.

W „Przeglądzie Pedagogicznym" (zeszyt październikowy) p. Chmielowski poddaje krytycznej ocenie część numerów Przyjaciela Dzieci z r. 1876. Ponieważ redaktor niniejszego pisma jest zarazem i redaktorem Przyjaciela, nie wypada więc tu nam zbijać niektórych sądów recenzenta, nacechowanych czasem złą wolą, niekiedy opartych na niedokładnem i pobieżnem przejrzeniu numerów, o których sądzi, a częstokroć ze sobą w sprzeczności zostających. Zwrócimy więc tylko uwagę na kilka ogólniejszych punktów, w których sam recenzent, stawiając zarzuty za pośpiesznie, zdradza teoretyczną nieświadomość lub jest w błędzie. Tak np. na str. 83 naganią przyjęte w jednym z artykułów Przyjaciela odróżnienie historyi zewnętrznej od wewnętrznej, lecz tak niejasno i nie wypowiadając przytem swego rozumienia że zdawać się może iż sam nie ma pod tym względem jasnego pojęcia. Na str. 84 naganiając formę *iloci* (*heloci*), recenzent jest w błędzie: widocznie bowiem nie wie, że obydwie formy są jednakowo uprawnione i w nowszych językach używane, a to wskutek nierozstrzygniętej jeszcze kwestyi pochodzenia tego wyrazu; jedni wywodzą go od miasta *Ilos* (piszą więc *iloci*), drudzy zaś od imiesłowu greckiego *heilotes* (jeńcy) i piszą *heloci*. P. Chmielowski jest surowym sędzią pod względem czystości języka, poprawności składni i jasności stylu — i słusznie; ale szkoda że sam, mówiąc o tem wszystkiem, popełnia liczne i grube błędy. Oto i w „Przeglądzie Pedagogicznym" znaleźliśmy ich sporo jak np. „potrzeba wyszukiwana rozmaitych sposobów zainteresowania dzieci i młodzieży do nauk, wpojenia w nie zasad dobra i piękna" (str. 79. *jedenaście* wyrazów w 2 przypadku, po sobie następujących, błąd stylu); „rozspecyalizowały się" (tamże — wyraz nieznany); „artykuły naukowe z pożytkiem *się czytają*" (str. 80 zam. *czyta się* — błąd składni) „*udoskonalają*" (tamże, błąd konjug. czas teraźniejszy dokonany); „zestawiając utwory oryginalne z tłómaczonemi, nastręcza się uwaga i t. d." (str. 81 — błąd składni, galicyzm): „wykluczona" (str. 87 rusycyzm); „szkoła ludowa *w Tunis* (str. 88 zam. *w Tunisie*).

W „Kronice Paryzkiej" wszystkich trzech zeszytów znajdujemy dosyć nieco bliżej nas obchodzących i ciekawych wiadomości. Tak np. w kronice zeszytu październikowego znajdują się wyjątki z dzieła p. Rathery o hr. Plelo, który zginął pod Gdańskiem w sprawie Stanisława Leszczyńskiego; tamże mamy przytoczony z historyka tureckiego opis klęski warneńskiej i jedyny w swoim rodzaju zabytek, utwór poetyczny Trentowskiego, w obronie filozofii skreślony. W kronice listopadowej mamy sprawozdanie o korespondencyi księżnej Conti i niektóre szczegóły o jej małżonku, spółzawodniku Augusta II do korony polskiej. Nakoniec w kronice zeszytu grudniowego zasługuje na uwagę wykaz artystów francuzkich, którzy pracowali w Polsce lub dla Polski, począwszy od Stefana Lahire malarza XVII w. aż do naszych czasów.

Dwa artykuły z nauk przyrodniczych — „Obecne stanowisko chemii" (w zeszycie październikowym) i „Wiadomości z historyi naturalnej" (zeszyt grudniowy) zawierają dużo zajmujących wiadomości. Niemożna powiedzieć tego samego o Wspomnieniach z IX sesyi kongresu między narodowego artystycznego w *Buda* (Budzie) - Peszcie" (zeszyt listopadowy): nudne to wielce i rozwlekłe sprawozdanie, wyłącznie prawie poświęcone opisom wycieczek to warzyskich i objadów.

W.

„Połączenie sił słabych - wytwarza potęgę."

Głęboka ta i wielka myśl jest dewizą kobiecej pracy; jest sztandarem trudów i usiłowań; w imię którego kobiety zmierzają do celu dobrze zrozumianej emancypacyi — w imię którego, przekształcają się w jednostki pożyteczne, zasilające dobro spółczesne, w poważnie i zdrowo myślące obywatelki, które przekazują swym córkom, słowem i czynem, potrzebę godziwej pracy i pożytecznego zatrudnienia.

Rozsądne Matki, przewidujące różne koleje przyszłości, dają możność swym córkom nauczenia się pracy, tak umysłowej, jak i ręcznej, i korzystania z takowej *wówczas*, gdy przyszłość przed niemi jeszcze jasna, gdy czoła ich jeszcze swobodne — nie walczą z przeciwnościami losu, i dzięki takim Matkom! głuchobrzmiące wyrazy *bieda* i *nędza*, w najniekorzystniejszych warunkach życia, córkom ich nigdy urągać nie będą!

— „Połączenie sił słabych" — to wyobrażenie dnia dzisiejszego, „wytwarza potęgę" — to nadzieja jutra...

Instytucya Spółki połączonej pracy kobiet (przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 56), gdzie wykładaną jest nauka rzemiosł i różnych umiejętności, jest właśnie tą samą — której powyższa myśl jest dewizą, a mija już lat 6 jak założoną została.

Najpierwsza to instytucya w kraju naszym, powstała ze szlachetnych myśli, popartych wolą i czynem, i dzisiaj są to jej główne czynniki, za któremi postępują w ślad, żądza pracy i ten najcenniejszy przymiot w kobiecych przedsięwzięciach. *Wytrwałość*, tam, gdzie jej nie ma — najpiękniejsze plany i projekta — wiatr rozwieje po świecie!

Otóż zastanówmy się, czy powinniśmy być obojętne tam, gdzie wspólne dobro nasze, każe się krzątać około własnej sprawy? Czy w łonie naszem, nigdy nie zadrgało serce, na widok smutnego położenia sierot pozostałych bez chleba, a nie umiejących na niego zapracować?

Czy w duszy naszej, nie odezwał się nigdy szlachetny głos pragnienia, aby ulżyć targającym się siłom, wyczerpującej zdrowie pracy, głowom naszych rodzin, i polepszenia bytu materyalnego tymże? Nie ulega kwestyi, że w każdej szlachetnej piersi, głos taki się odzywa, z którego świętym obowiązkiem kobiety jest skorzystać, zwłaszcza — gdy ma do tego sposobność i możność.

— Siostry, żony, matki i córki! podajmy sobie dłonie, a zbrojne wytrwałością — zdążajmy pod sztandar pracy. Tam wiedza, słowo i czyn, wszystko znajdzie zastosowanie, z czego utworzy się filar naszej samoistności, najradykalniej przyczyniający się do zdrowia moralnego.

Dajmy za wygranę czczym mrzonkom, obudźmy się z uśpienia, i bądźmy kobietami!

Minęła epoka sentymentalizmu, postarajmy się być prawdziwemi aniołami czynu. Stańmy się pociechami naszych rodzin, nie będąc im ciężarem; stańmy się godnemi towarzyszkami pracujących naszych ojców, mężów i braci! Wówczas to, w samej rzeczy — staniem się mężniejszemi i silniejszemi, wątły nasz organizm przestanie być trawiony chorobą bezczynności i nudów, będziem zdrowe ciałem i myślą! zadowolone teraźniejszością — przyszłość nie będzie przejmować nas trwogą... iść będziem ku niej śmiało, prosto... w imię Boga, pracy i poczciwej myśli.

A. K.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. A. W. Wierszyk p. t. Improwizacya z czuciem napisany, ale nie posiada wszystkich warunków, jakich zachowanie jest niezbędne w utworach podobnego rodzaju. Rym i miara wiersza to dopiero forma a istotę rzeczywistą stanowi wzniosłość myśli, treściwość i piękność porównać i obrazowania.

Panu H. W. w Damnicach. Skandaliki, miejscowe nieporozumienia, wzajemne szykany nie są właściwe korespondencyi, mogącej obchodzić ogół. Zajścia podobne wtenczas tylko godne są rozgłosu, gdy się łączą z życiem publicznem, gdy wpływają szkodliwie na rozwój pracy społecznej. Pozbawione tej barwy, stają się wybornym materyałem do szerzenia plotkarstwa i niechęci; do tego Janek z Bielca nigdy ręki nie przyłoży.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie balowe. Dół sukni zdobią skośnie naszyte bufy przedzielane pasami koronki. Stanik sznurowany z tyłu, ma przód przybrany odpowiednio do sukni bufami i koronką. Tunika z tyłu leżąca na trenie z boków wysoko podpięta a z przodu spuszczona do dołu ułożona jest z gazy *façonne*. Białe wodne lilie i trawy suto rozrzucone na tunice i staniku zdobią również głowę.

Fig. 2. Ubranie wieczorowe. Suknia z materyi faile w pasy lila i białe ma przód zakończony szeroką marszczoną falbaną, powyżej zaś dane dwie płaskie bufy przepinane plisami z materyi gładkiej. Z lewego boku od góry zaczyna się przybranie z falbany składanej wachlarzowo oszytej koronką i przepinanej puklami, które przedłuża się aż do samego dołu sukni i stanowi suty garnirunek tylnych brytów. Stanik kirasowy jest fantazyjnie przybrany wstążką lila i koronką; jeden kawałek wstążki otacza nakształt berty wykrój szyi, drugi przeprowadzony jest od ramienia do boku i przytwierdzony sutą kokardą.

Przyjaciela Dzieci Nr. 2 wyszedł z druku i zawiera:

Zima (wiersz).—Pogadanki historyczne.—Król Dahomeju (z drzeworytem).—Zwaliska zamku w Smoleniu (z drzeworytem.—Dora (ciąg dalszy). w Dodatku: Na dworskim chlebie.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: *Do* **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 30 Декабря (11 Января) 1876/7 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

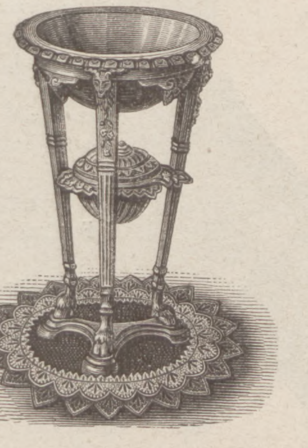
Dodatek.

Opis do N. 1.

(Dokończenie)

N. 21. **Deseń** do haftu na kieszonkę do zegarka, ryc. 29 w N. 2.

N. 22. **Chustka** kwadratowa z przedłużonemi końcami.



N. 1. Kadzielniczka z patarafką. Patrz ryc. 4. w N-rze 1.

Materyał 120 gramów cienkiej włóczki (Eiswolle) białej, 30 gramów pąsowej, druty drewniane średniej grubości.

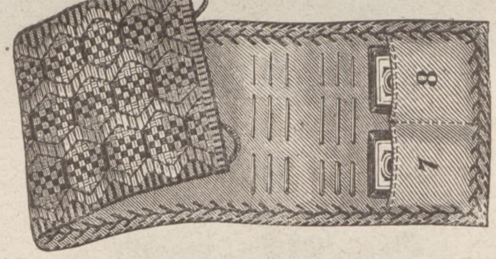
Tło chustki jest podwójne, od spodu białe robione gładko tam i napowrót, z wierzchu ażurowe robione powszechnie znanym ściegiem w dziurki, którego próbkę naturalnej wielkości załączamy na ryc. 33. Przedłużone końce których długość może być dowolna, formują się przez stosowne przyciera-



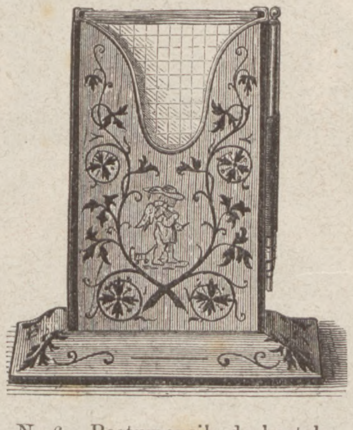
N. 3—4. Negliż formą princesse. Krój w dodatku N. I, Fig. 1—4.



N. 2. Koszyczek do biletów.



N. 5. Futerał do igieł.



N. 6. Postumencik do kartek notatkowych. Deseń w dodatku Fig. 22 a—22 b.

nie. Robotę zaczyna się na 8 o. od górnego jak kołnierz wywiniętego końca, następnie co trzecie obrobienie, przybiera się po 1-szem o. w dwa o. środkowe i po jednem w trzecie na początku i na końcu rzędu. Na modelu liczba oczek wzrastała w ten sposób bez zmiany aż do 300, a zarazem formował się drugi środkowy róg chustki. Gdy tło białe było skończone, następował zaraz w dalszem ciągu szlak dolny, któren obrabia się 23 razy włóczką białą potrójną przybierając jak w tle co trzecie obrobienie, a zakończając u dołu jak pończochę. Następnie nabiera się na drut górne o. szlaku i przyrabia do nich tło ażurowe pąsowe, odrobione podług próbki ryc. 33, które zaczyna się od ocz. 350 a gubi w ten sposób jak się poprzednio przybierało, stopniowo do o. 8-miu. Na koniec obie połowy tła nabierają się na druty jak pięta i obrabiają razem, 24 razy szlakiem białym w którym przybiera się jak poprzednio; zarabiając rogi końcy w sposób na ryc. 22 wskazany.

N. 23. Poduszka do kanapy. Haft płaski i łańcuszkowy, deseń na arkuszu z krojami Fig. 65—66.

Środkowy pas haftowany jest kordonkami kolorowemi na suknie jasno-perłowem przyłożonem na tle sukiennem ciemniejszem; dalej idą pasy z atłasu niebieskiego, wyszyte sznureczkiem białym jedwabnym a ozdobione z brze-



N. 7. Suknia z kaftanikiem bez rękawów. Patrz ryc. 39. Krój stanika w dodatku N. IV, Fig. 23—27 i 29. Krój kaftanika i tiuniki N. VII, Fig. 37—42.



N. 8. Suknia z tuniką zapiętą na guziki, krój stanika w dodatku N. IV, Fig. 23—27 i 30. Krój tuniki N. VIII, Fig. 43.



gów sznureczkiem złotym. Za temi dane na tle z sukna popielatego ząbki sukienne perłowe, wyszyte kordonkiem jasno brązowym a zakończone sznureczkiem złotym. Z brzegów dodane pasy pikowane z atłasu niebieskiego.

N. 26—31 i 34—37. Całkowite ubranie myśliwskie.

Opis do N. 2.

N. 1. Kadzielniczka z patarafką.

Ozdobnie z brązu wyrobiona kadzielniczka stoi na okrągłej patarafce aksamitnej, otoczonej szlakiem wycinanym w zęby, złożonym z dwóch pasków sukna, atłasu lub t. p. w dwóch kolorach. Do wyszycia użyty odpowiedni kordonek, perełki złote i sznureczek; wzór szlaku wskazuje ryc. 4 w N-rze 1.

N. 2. Koszyczek do biletów lub biżuteryi.

N. 3—4. Negliż formą princesse. Krój na arkuszu z formami N. II, Fig. 1—4.

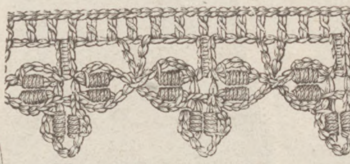
Z powodu szwów idących wzdłuż pleców i przodów na długość stanika z baskiną, odznaczonych grubą wypustką, negliż wydaje się złożonym z kilku części chociaż składa się tylko z przodów i pleców Fig. 1 i 2. Dla braku miejsca podaliśmy o b i e części formy tylko w połowie długości, którą dopełnić trzeba podług miar wskazanych na zmniejszonym formacie.



N 10. Kosz do robót. Patrz ryc. 9.

Negliż ten odszyty z kaszmiru na jedwabnej podszewce, ma dodane na szwach wypustki z grubym s z n u r e c z k i e m; wykłady przednie, kołnierz, mankiety i kieszonki są z materyi jedwabnej t e g o co podszewka koloru. Przez środek pleców i przy zszyciu ich z przodu dodane są z kaszmiru kliny ścięte śpiczasto u góry a rozszerzone do dołu (jak to widać na ryc. 4) przez wierzch których naszyte jest sznurowanie z grubego sznura z kwastami; klin tylny liczy u dołu 16 cent. szerokości i kończy się u góry w miejscu odznaczonem gwiazdką na Fig. 2; kliny boczne liczą po 13 cent. i kończą się w miejscu odznaczonem kropką na Fig. 1-a. Wykłady przednie liczą u dołu po 26 cent. szerokości; negliż od góry zapięty jest na kilka guzików, od wcięcia stanu zaczyna się rozchodzić a u dołu odsłania ozdobną białą spódniczkę; w pasie przewiązany gruby sznur z kwastami.

N. 9. Szlaczek haftowany ściegiem płaskim, do ryc. 10.



N. 12. Ząbki szydełkowe.



N. 13. Medaljon robotą nakrapianą.



N. 14. Rękaw do sukni ryc. 7.



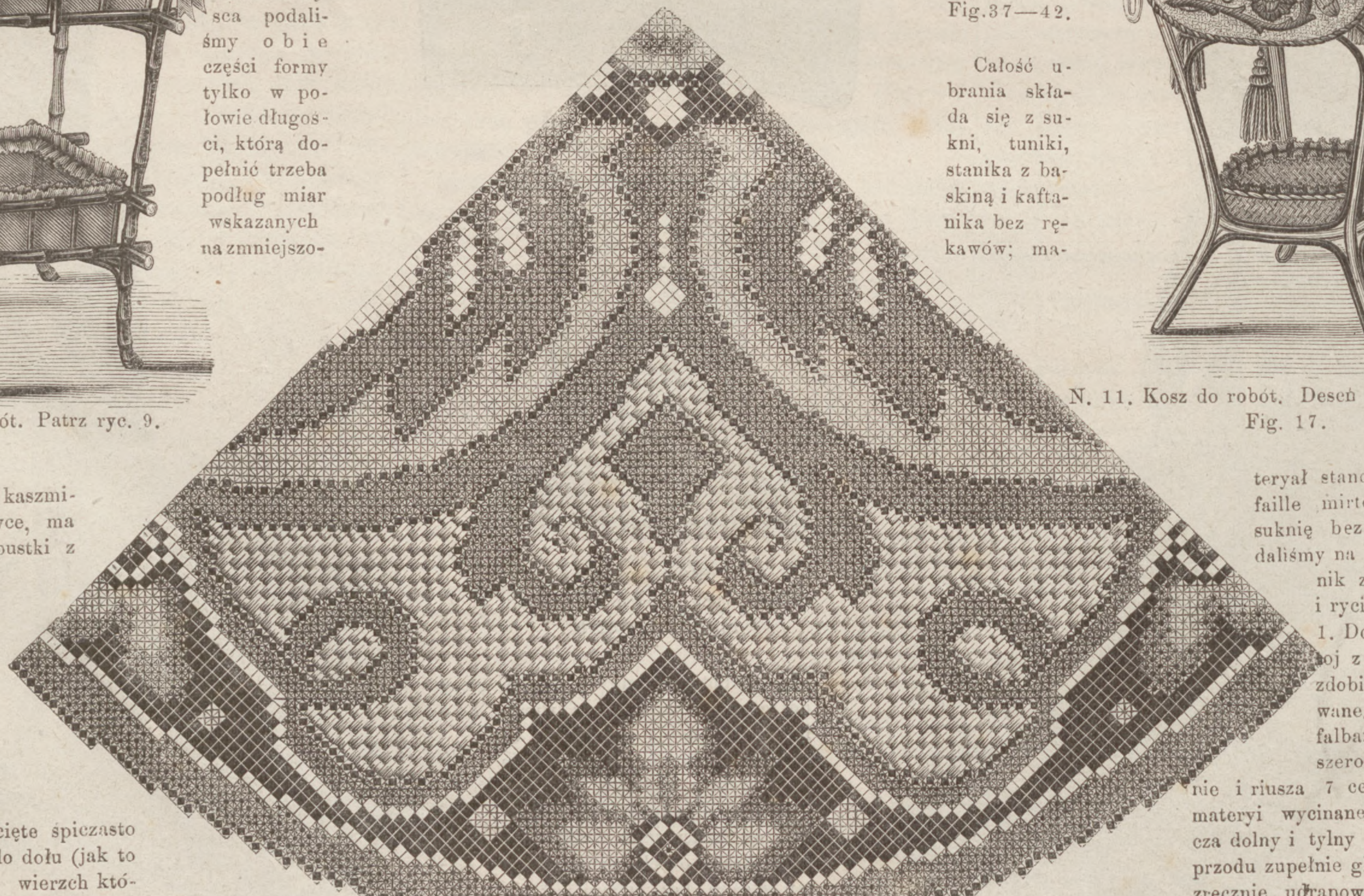
N. 10. Torebka podróżna. Deseń wyszycia w dodatku Fig. 19 a—19 b.



N. 19. Haft na okrągłą poduszkę. Patrz ryc 18.



N. 17. Worek futrzany do nóg.

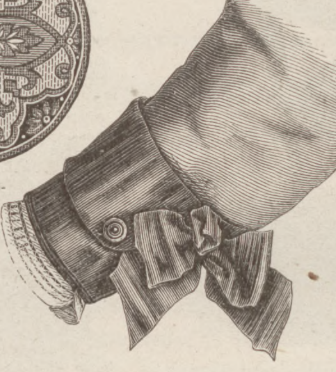


■ czarny, najciemn., drugi, trzeci, czwarty najjaśn. pąsowy.

N 18. Czwarta część deseniu na robotę krzyżową patrz ryc 19

N. 5 i ryc. 25 w N-rze I. Futeralik do igieł.

Zwierzchnie pokrycie stanowi kanwa Jawa wyszyta podług próbki ryc. 25 w N-rze 1. Ząbki wyszyte są nitką wysiepaną z kanwy a ściegi stębnowane dane pąsowym jedwabiem; podszycie dane z flanelki białej lub kolorowej.



N. 15. Rękaw do sukni ryc. 7.

N. 6. Postumencik do kartek notatkowych. Malowanie na drzewie. Deseń na arkuszu z formami Fig 22—22-b.

Sprzęcik ten odpowiedni do postawienia na biurku lub toalecie służy do wkładania kartek z notatkami, lub co najpraktyczniejsze opatrzony jest paroma tafelkami z kości słoniowej, z których notatka zapisana ołówkiem zmywa się z łatwością. Deseń malowania na drzewie załącza w naturalnej wielkości Fig. 22-a; narożniki dane na podstawce odrabiają się podług Fig. 22-b.

N. 7, 14 i 39 tudzież ryc. 10 w N-rze I. Suknia z kaftanikiem bez rękawów. Krój stanika na arkuszu N. IV, Fig. 23, 27 i 29. Krój kaftanika i tuniki N. VII, Fig. 37—42.

Całość ubrania składa się z sukni, tuniki, stanika z baskiną i kaftanika bez rękawów; materyał stanowi kaszmir i faille mirtowego koloru, suknię bez kaftanika podaliśmy na ryc. 7, kaftanik zaś na ryc. 39 i rycinie 10 w N. 1. Dół sukni odszyty z materyi faille zdobią dwie plisowane, kaszmirowe falbanki po 11 cent. szerokie. Plisowanie i riusza 7 cent. szeroka z materyi wycinanej w ząbki otacza dolny i tylny brzeg tuniki z przodu zupełnie gładkiej, z tyłu zręcznie udrapowanej; Fig. 42 a, b, i c podają krój brytów tuniki, którą przymierzywszy na osobę trzeba podpiąć podług ryciny 7. Stanik gładko leżący z przodu ma drugie części pleców (Fig. 26) przy-

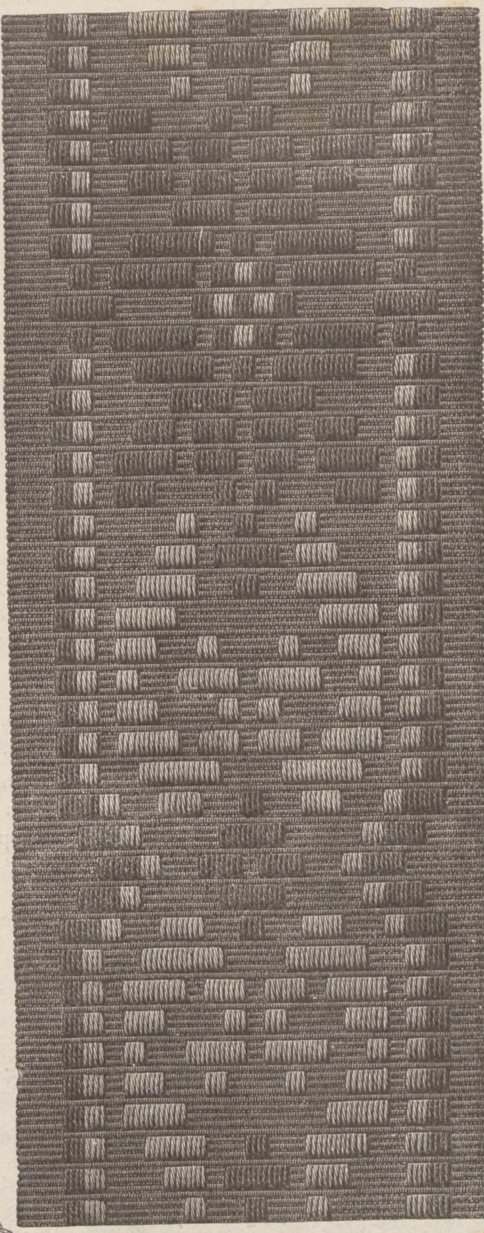


N. 11. Kosz do robót. Deseń lambrekiny na Fig. 17.

krojone z materyi, u dołu ścięte śpiczasto i schodzące się pod sutą kokardą z wstążki. Fig. 25-a—26-a wskazują zmianę zachodzącą w kroju pleców podług fig. 25—26; pierwszą część (Fig. 25) zmienia się dopełnieniem baskiny podług Fig. 29 a przy drugiej połowie pleców (Fig. 26) brzeg dolny zmienia się podług linji kropkowanej. Rękawy z materyi faille mają bardzo skromne przybranie podług Fig. 14. Kaftanik bez rękawów przedstawiony z przodu na ryc. 10 w N-rze 1, oszyty jest plisowaniem i riuszą; u dołu pleców dodana jest część plisowana idąca od gwiazdki do dołu, złożona w fałdki po 2 1/2 cent. głębokie, 18 cent. szeroka a 22 długa. Jak to widać na ryc. 39 riusza brzegiem baskiny zwrócona jest w górę i kończy się pod kokardą, zasłaniającą przyszycie części plisowanej.



N. 27. Rzucik do ryc. 26.



N. 22. Szlak do mebli. Patrz ryc. 23.



N. 28. Rzucik do ryc. 26.



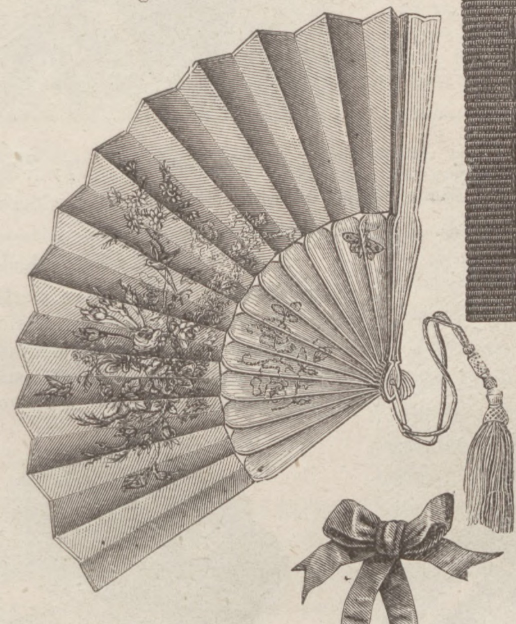
N. 20. Sukieneczka z fałdowanemi tylnemi brytami spódniczki. Patrz ryc. 21. Krój na arkuszu N. III, Fig. 12—16.



N. 21. Plecy sukienki podanej na ryc. 20.

N. 8 i 15. Suknia z tuniką zapiętą na guziki. Krój stanika na arkuszu N. IV, Fig. 23—27 i 30 (tudzież fig. 25-a, 26-a i 30-a). Krój tuniki N. VIII, Fig 43.

Rycina 8 przedstawia ubranie wykończone z materyału wełnianego, koloru śliwkowego, zdobne plisami z jedwabnego repsu, w którem zasługuje na uwagę tunika zapinana z boku i stanik z baskiną oryginalnie podwiniętą z tyłu. Druga część pleców stanika (Fig. 26) kraje się w jednym ciągu z baskiną fig. 30 założoną w fałdy podług odpowiednich liter; fig. 25-a—26-a i 30-a przedstawia w zmniejszeniu obie części pleców i baskinę. Potrzeba obie części pleców (Fig. 25—26) zeszyć z sobą od E—F, następnie baskinę podszytą materyą aż do wcięcia stanu i wystającą niżej szwa pleców N—S, składa się przy górnym brzegu w fałdy od 4—5, zachodzące pod spód poczem tylny brzeg który składa się w fałdę od 6*—6 podwija się w trąbkę pod spód i przyczepia rogiem oznaczonym gwiazdką do dolnego brzegu pierwszej połowy pleców. Przybranie z plis 4 cent. szerokich którego można nie dawać z przodu, naszywa się podług ryc. 8; przyozdobienie rękawa dopełnia się podług ryc. 15). Plisa przy tunice liczy 7 1/2 cent. szerokości; fig. 43 *a*, *b*, i *c* wskazuje krój trzech brytów tuniki; bryt przedni i tylny zachodzą na siebie w pasie na 12 cent. u dołu na 9 cent. szerokości. Bryt przedni oprócz podcięcia u góry zaszywa się w dwie fałdki mniejsze lub większe odpowiedni do figury; bryt tylny założony jest z brzegów w odstępie między 4 i 5-cioma guzikami w fałdę ośm cent. głęboką, z dwóch stron 32 cent. głębokiego rozporka w środku bryta zmarszczonyjest u góry do 13 cent. Nowość w upięciu tuniki stanowi dodana z wierzchu tylnego bryta część oddzielna (c) tworząca śpiczasty trójkąt, łączący się z przodem przez zapięcie na guziki; kawałek ten z dwóch brzegów oszyty jest plisą i ma obrobione z jednej strony trzy z drugiej pięć dziurek, które zapinają się na guziki przyszyte z brzegów tylnego bryta; na te same guziki zapina się bryt przedni. Jak to widać na fig. 43 c trójkąt tworzy się w ten sposób iż z jednego brzegu fałduje się od gwiazdki do góry i przyczepia wzdłuż górnego brzegu tylnego bryta; z drugiego brzega od góry zostawia się 20 cent. gładko od dwukropka i łączy z górnym brzegiem tylnego bryta, dalej zaś pozostały brzeg podszywa się skosem 8 cent. szerokim i składa beduinowo; dwa brzegi oszyte plisą przypinają się do bryta tylnego podług ryc. 8 i tworzą róg śpiczasty, pod beduinowem złożeniem. Przybranie spódnicy stanowi plisowanie 10 cent. szerokie równie szeroka falbana złożona w kontrafałdy.



N. 24. Wachlarz z materyi.



N. 25. Wachlarz z piór.



N. 34. Wykonanie ściegu sznureczkowego do ryc. 2 w N-rze 1.



N. 26. Kieszonka do zawieszenia.



N. 30. Poduszka do szpilek podwójnych.



N. 29. Kieszonka do zegarka.



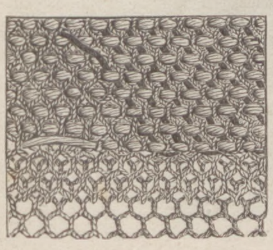
N. 33. Sukieneczka dla dziecka. Opis przy ryc. 2 w N. 1.

N. 9—11. Dwa kosze do robót.

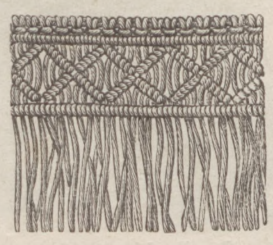
Rycina 10 i 11 przedstawia dwa kosze do robót oparte na wysokich postumentach z trzciny gładkiej i bambusowej; na ryc. 10 widzimy kosze pokryte niebieską materyą i oszyte riuszą; postument ryc. 11 opatrzony jest koszyczkami ozdobnie wyplatanemi z których wyższy ma przykrycie zamykane. Deseń na lambrekiny załącza Fig. 17. Wyższe, większych rozmiarów kosze przeznaczone są na umieszczenie roboty w niższych umieścić można różne przybory. Kosz ryc. 10 nie ma zamykanego pokrycia tylko opatrzony jest ozdobną serwetką z popielatego sukna, ozdobioną szlakiem wyhaftowanym podług ryc. 9. Środek serwetki zajmuje podłużny bukieck.

N. 12. Ząbki szydełkowe.

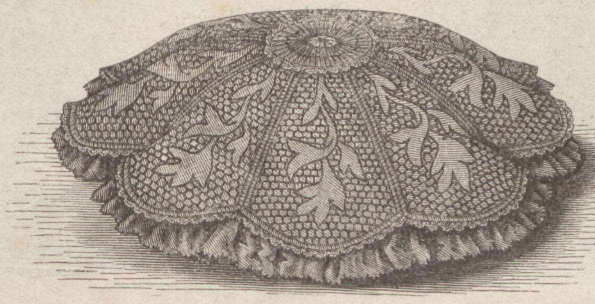
W pierwszym rzędzie robią się listki z nawijanemi węzłami, zaczynając od * 2 o. p. na korzonek, dalej na



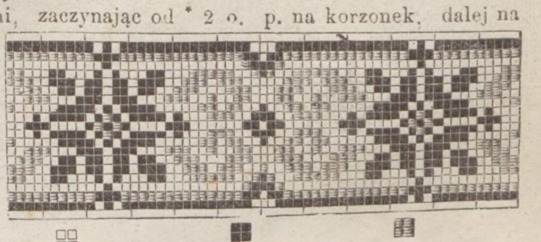
N. 31. Wyszycie na tiulu do ryc. 30.



N. 32. Frendzla wiązana.



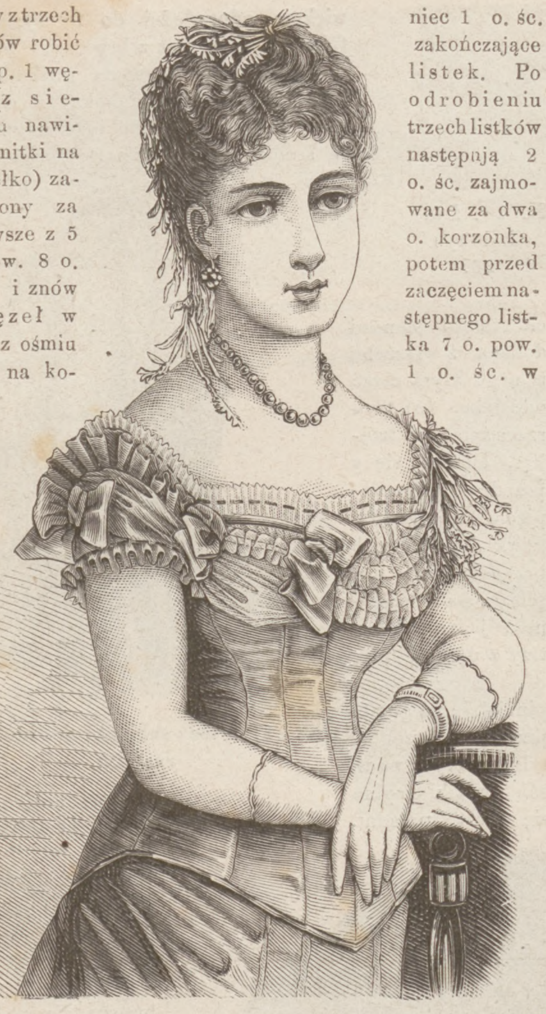
N. 35. Poduszeczka na toaletę. Deseń na Fig. 21.



Tło, włóczka ciemna, jedwab jaśniejszy.

N. 23. Deseń na pas do mebli.

każdy z trzech listków robić 5 o. p. 1 węzeł (z siedmiu nawinięć nitki na szydełko) zaczepiony za pierwsze z 5 o. pow. 8 o. pow. i znów 1 węzeł w 4-te z ośmiu pow.; na koniec 1 o. śc. zakończające listek. Po odrobieniu trzech listków następują 2 o. śc. zajmowane za dwa o. korzonka, potem przed zaczęciem następnego listka 7 o. pow. 1 o. śc. w



N. 36. stanik wycięty. Patrz ryc. 37.

czubek ostatniego listka; 2 o. pow. Powtarzać od *; górne obrobienie stanowią słupki.

N. 13. Medaljon robotą nakrapianą, odpowiedni do ryc. 2.

N. 16. Torebka podróżna ozdobiona haftem. Deseń w dodatku Fig. 19 a i 19 b.

Podajemy na arkuszu z krojami połowę deseniu na zwierzchnią stronę i na klapkę w wielkości naturalnej; może być wyszyty pąsowym sutaszem na płótnie żaglowem; zamiast płótna można użyć sukno, reps wełniany lub skórę; deseń wyszyć łańcuszkiem, ściegiem sznureczkowym lub stębnowanym.

N. 17. Worek futrzany do nóg. Patrz Fig. 18 na arkuszu z krojami.

Przyozdobienie stanowi monogram 20 cent. wysoki wyhaftowany płaskim ściegiem, ponieważ jednak haft na skórze wymaga umiejętności i wprawy podajemy więc na Fig. 18 deseń łatwy do wyszycia i pośpieszny który powinien być poprzednio wykłóty.

N. 18—19. Haft na okrągłą poduszkę lub taboret. Wyszycie na kanwie krzyżykami i ściegiem pikowym.

Cała piękność roboty zależy na starannem i umiejętnem dobraniu cieni; tło pikowe które można robić kordonkiem lub włóczką, zajmuje 4 nitki wzdłuż a 2 szerz. Ryc. 19 przedstawia w zmniejszeniu cały deseń.



N. 38. Paletot skośno zapinany. Patrz ryc. 11 w N-rze 1. Krój w dodatku N. II, Fig. 5—11-a.

N. 20—21. Sukienka z fałdowanemi, tylnemi brytami spódniczki, dla dzieci lat 2 — 4. Krój N. III, Fig. 12, 16.

Rycina 20 przedstawia z przodu, sukienkę z *Cheviotu* popielatego w kratę, zapiętą na ciemne kościane guziki, a przybraną plisami i wypustkami z szafirowego aksamitu. Na ryc. 21 widzimy w jaki sposób zdobią się 4 cent. głębokie kontrafałdy spódniczki i plecy. Model odrobiony był z gładkiego wełnianego materyału i naszyty pletnią ciemniejszego lub czarnego koloru. Przyszycie fałd przykrywają patki zapięte na kościane lub szmuklerskie guziki.

N. 22—23. Pas do mebli. Haft gobelinowy szwedzki na repsie wełnianym, meblowym, kordonkami w dwóch cieniach, albo włóczką i filozelą. Zmniejszony deseń ryc. 33.



N. 37. Stanik wycięty. Plecy do ryc. 36.

N. 24. Wachlarz z kości słoniowej i atłasu.

Najmodniejsze wachlarze są z atłasu białego z oprawą z kości słoniowej. Bukiet na atłasie może być malowany lub haftowany kolorami, albo kwiaty malowane a liście haftowane i na odwrót. Nowość stanowią kwiaty, motylki lub owady z konchy perłowej naklejone między haftem lub malowaniem.

(dok. nast.)



N. 39. Kaftanik bez rękawów do sukni ryc. 7. Patrz ryc. 10 w N. 1. Krój w dodatku N. VII, Fig. 37—41.



N. 40. Stanik kirasowy do ryc. 1 w N. 1. Krój w dodatku N. IV, Fig. 23—27.